

**BEZ  
DEKRETU**

**NR 9-10 KRAKÓW**

# **BEZ DEKRETU**

*Pismo członków i sympatyków*

*„SOLIDARNOŚCI”*

***NR 9 - 10***

**Kraków — Lipiec - Sierpień 1985**

## Spis treści:

1. Coś z tego będzie - rozmowa z Ireną Grudzińską-Gross - współautorką książki "W czterdziestym nas matko ns Sybir zesłali..." . . . . .	3
2. Bruno - Kilka uwag o ordynacji wyborczej . . . . .	10
3. Dokumenty . . . . .	16
4. Zbigniew Bujak - Ocena pogrudniowej polityki gospo- darczej rządu i perspektyw wychodzenia z kryzysu . . . . .	19
5. Barbara Toporska-Mackiewicz - Oświadczenie . . . . .	28
6. Antoni Słonimski - Kontrmarsz . . . . .	29
7. Dokumenty represji . . . . .	30
8. Kajetan Brzeski - Młodzi lat 70-tych . . . . .	32
9. Opinie badanych o prasie niezależnej . . . . .	40
10. P.L. - Metropolita Andrzej Szeptycki w służbie Kościoła Chrystusaowego . . . . .	42
11. Zbigniew Brzeziński - Władza i pryncypia w amerykańskiej polityce zagranicznej . . . . .	59
12. Kisiel - Moim zdaniem . . . . .	70
13. Konrad Struga - List do Jego Magnificencji prof. dr hab. Józefa Gierowskiego - Rektora UJ . . . . .	72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

©Copyright by BEZ DEKRETU

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska  
14 Rue Sidi Brahim  
75 012 Paris, FRANCE  
tel. 341 2699

PODZIĘKOWANIA: Antosiowi dziękujemy za magnetofon.  
Serdecznie dziękujemy Agnieszce

# Coś z tego będzie ...

## ROZMOWA Z IRENĄ GRUDZIŃSKĄ-GROSS - WSPÓLAUTORKĄ KSIĄŻKI „W CZTERDZIESTYM NAS MATKO NA SYBIR ZESŁALI...”

- ...W 1968 roku byłam studentką Uniwersytetu Warszawskiego... Byłam też w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności, czyli należałam do grupy ludzi bardzo aktywnie organizujących wypadki marcowe. Przed procesem siedziałam w więzieniu ponad pół roku. W wyniku procesu skazano Irenę Lasotę, Teresę Zabłocką i mnie na półtora roku więzienia... Potem wyjechałam.

- Czy potrafisz dzisiaj przypomnieć sobie co zadecydowało o twojej emigracji?

- To, o czym mówiłam było dla mnie bardzo ciężkim przeżyciem. Nie byłam przygotowana ani fizycznie, ani psychicznie, ani politycznie do tego, żeby stanąć twarzą w twarz z policją. Był to dla mnie i dla wielu innych niesłychany cios. Przecież efektem Marce było całkowite rozbitcie naszego środowiska. Poprzez rozmaite manipulacje skłócano ludzi. W ogóle wówczas nie umieliśmy siedzieć. Byliśmy przecież stosunkowo młodzi. Ja miałam 21 lat. Nie potrafiłm się bronić, bo jednak większość z nas pochodziła z komunistycznych domów i stale nam się wydawało, że robimy coś takiego, co jest na pograniczu legalności. Wierzyliśmy, że coś się da zrobić. Mieliśmy poparcie profesorów, czyli starszych od nas, którzy też tak sądzili... Tak, że z Marca wyszłam niesłuchanie połamana. Nie wyobrażałam sobie jak mogę żyć. Poza tym byłam bardzo przestraszona, ale wcale nie chciałam emigrować. Był to przecież jeszcze jeden element służący rozbitciu środowiska. Większość tych, którzy mogli emigrować, to byli ludzie pochodzenia żydowskiego, pochodzący z rodzin, które były od wielu pokoleń zasymilowane, bądź też zasymilowane przez komunizm.

- Dla wielu, zwłaszcza młodych, Marzec był pierwszą okazją do zeknięcia się z problematyką żydowską.

- Dla mnie również. Zawsze uważałam się za Polkę. Z tym nowym problemem nie umiałam sobie poradzić. Nie wiedziałam co to jest. Dotarło do mnie tyle, że jest to obelga. Wyjechałam z ogromnym poczuciem winy, jak wszyscy zresztą.

- Z czego wynikało to poczucie winy?

- Z tego, że nie umiałam sprostać sytuacji, że nie wytrzymałam tego napięcia. Dokuczano mi bardzo, ale dokuczano też innym moim przyjaciółkom, którzy nie wyjechali. Jak ci już powiedziałam - ta emigracja była elementem dezintegrującym środowisko... Parę lat na Zachodzie spędziłam w zupełnej nieaktywności. Poza tym wówczas nie było w kraju żadnych oczekiwań w stosunku do emigracji... Nie tak jak teraz.

- Jak odbywało się wyrzucanie was z Polski?

- Wyjeżdżaliśmy z Polski jako bezpaństwowcy. Musieliśmy się zrzec obywatelstwa polskiego. Do tego nas zmuszono. Trzeba było poprosić Radę Państwa, żeby nam odebrała obywatelstwo. Wyjeżdżaliśmy z papierem, na którym było napisane, że posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem Polaki, i którego ważność kończyła się w 48 godzin

po przekroczeniu granicy. Ja przejeżdżałam z Wiednia do Włoch. Szmuglowano nas w zamkniętych wagonach. Nie wolno było z nich wychodzić. Oczywiście, władze włoskie wiedziały, ale było to absolutnie nielegalne z punktu widzenia prawa międzynarodowego. My byliśmy po prostu Ntkim. Nie mieliśmy w ogóle żadnych dokumentów. We Włoszech zdobywaliśmy je na różne sposoby... Pamiętam, że głównymi uczuciami, które mi wtedy towarzyszyły, były: rozgoryczenie, brak wytrzymałości na to co się dzieje i strach. Może to są zawsze główne elementy towarzyszące emigracji - nie wiem. Grupa ludzi Marcja niewątpliwie miała dodatkowo problem narodowościowy. Nie potrafiliśmy się z tym pogodzić. Uważaliśmy, że niejako podwójnie odebrano nam prawo do mówienia. Po pierwsze przez sam fakt emigracji i po drugie przez podejrzenie o nie tę narodowość. W tym kontekście wszelkie wygłaszane poglądy nabierały innego sensu. Stąd np. później, kiedy nasza grupa emigracyjna założyła pismo "Aneks" publikowaliśmy początkowo przedruki. Sam tytuł "Aneks" znaczy, że my nie mamy prawa głosu, tylko służymy czemuś innemu. Było to początkowo pismo w 100 procentach usługowe. Rozumieliśmy, że istnieje potrzeba myśli politycznej, że trzeba jakby świeżego powietrza. Sytuacja przecież była dziwna. Rewizjonizm już się skończył. I co dalej? Potem powoli niektórzy spośród nas zaczęli pisać. Bardzo trudno jest pisać, kiedy nie ma poczucia, że ktoś z zewnątrz na to zezwala, oczekuje tego, będzie to czytał i będzie się tym interesował.

- Czyli ostatecznie, jako redakcja "Aneksu", wylądowaliście w Londynie i Paryżu?

- Geograficzne koleje naszych losów były bardzo skomplikowane. Do dzisiaj część redakcji "Aneksu" jest w Londynie, a część w Paryżu. Początkowo byłam trzy lata we Włoszech, dopiero potem pojechałam do Ameryki. Gienek Smolar /angielska część redakcji/ był w Szwecji i Anglii. Alik Smolar /paryska część redakcji/ był najpierw we Włoszech, potem we Francji.

- Jak załatwialiście problemy narodowościowe?

- Każdy rozwiązywał je na własną rękę. Wielu ludzi z tego pokolenia odkryło dla siebie żydostwo... Może będę mówiła o sobie, bo trudno mi jest powiedzieć, jak ten problem rozstrzygali inni. Miałam okres takiego ciekawego odkrywania problematyki żydowskiej. Doszłam do stanu, w którym najtrudniejszą rzeczą było zaakceptowanie samej siebie, taką jaką się jest dlatego, że zawsze uważałam się za Polkę. Byłam wychowywana jako Polka i nagle zaczęłam się zderzać z zaprzeczeniem tego. To zaprzeczenie było trudne do zanegowania. Negowanie stawiało mnie na równi z tymi, którzy mówili: nie ma pani prawa, bo pani jest Żydówką. Co miałam mówić? - Nie, nie jestem Żydówką... Automatycznie siebie pytałam, czym jestem. Teraz jestem spokojna, jeśli chodzi o te sprawy. Doszłam do takiego wniosku - mówię to sobie po raz pierwszy - że są różne sposoby bycia Polakami i są różne sposoby bycia Żydem. Niektóre spośród nich są łączne... W związku z tym jestem kimś, kto kontynuuje pewnego rodzaju tradycje, tzn. jestem być może polską Żydówką. Nie wiem. Nie potrafię siebie tak nazwać. Niewątpliwie jestem przede wszystkim Polką, ale zaakceptowałam również tę sprawę żydowską.

- Sądzę, że problem ten nie powinien być dla nas najistotniejszy. Antysemityzm rozbudzonej w Marcu do granic możliwości, bo był argumentem w rozgrywkach polityków. Po Marcu, od czasu do czasu, nawet w czasie Zjazdu "Solidarności", przypominano sobie o haśle "bij Żyda", ale równocześnie i "inteligenta". Jakby równoważnik. To skomplikowany problem i nie chciałabym, byśmy całą naszą rozmowę wokół niego skoncentrowały. Jest to temat wielki i sam w sobie. Jest to też nie-

wątpliwie problem ludzki; zbiorowy i jednostkowy. Dla mnie, czy raczej w mojej mentalności, on nie istnieje.

- Nie mogę się z tobą zgodzić, że nie istnieje. Moim zdaniem ten problem istnieje. To nie było i nie jest przypadkowe...

- Nie zrozumiałaś mnie. Problem istnieje, oczywiście...

- ...Ja byłam rezultatem tego niesłychanego braku pamięci, który funkcjonuje w społeczeństwie polskim odnośnie tych tematów. Dla Polaków jest to problem bardzo poważny, właśnie dlatego, że nie można o nim normalnie rozmawiać. Albo ktoś krzyczy: "na Żyda!", albo ktoś mówi: nie, to wszystko nie jest ważne. Tymczasem wydarzyło się tutaj tyle rzeczy... wiale rzeczy, które zakłócają obraz Polski jako narodu tolerancyjnego i prześladowanego.

- Wtedy mistrzowie od propagandy najczęściej uciekają do wspominków historycznych z XVI wieku, kiedy to po pogromach w Czechach, czy Niemczech przyjmowaliśmy Żydów. Jeżeli powiedziałam, że dla mnie ten problem nie istnieje, to jedynie w tym rozumieniu, że nigdy nie obchodziło mnie to, czy ktoś jest "czysty" Polak, czy Żyd-Polak etc. Obchodzi mnie jedynie, czy jest głupi, czy nie. Z głupotą nie mam obowiązku przytaczać. Wróćmy jednak do "Aneksu" jako pisma "usługowego". Chyba wydawanie go bardzo was integrowało?

- Oczywiście. Było integrujące dlatego, że "Aneks" spotkał się z bardzo żywym odzewem. Okazało się, że zaspokaja w jakimś atopniu bardzo żywy głód intelektualny i ideologiczny w kraju. Ludzie zaczęli do "Aneksu" pisać. O ile się nie mylę, pierwsze artykuły napisane do "Aneksu" pochodziły z Polski. Były one napisane specjalnie do "Aneksu". Wyszedł przecież numer specjalny zrobiony w Polsce. To był chyba szósty numer, czyli jeden z pierwszych. Dzięki temu pismo nabrało rozpędu.

- Czyli rozpędu, jak to określiłaś, nadała "Aneksowi" ta część waszej grupy, które została w kraju. Myślę m.in. o Adamie Michniku.

- Oni mieli bardzo aktywizujący, ciekawy i intelektualny wpływ na to co robiliśmy. Bardzo nas w tej działalności podtrzymywali. Nie rozplynęliśmy się, a mogliśmy. Iluż ludzi spośród tych, którzy wyemigrowali rozplynęło się. Myśmy przecież też nie byli zawodowo przygotowani do pisania i wydawania.

- Byliście przecież w dużej części studentami.

- Tak, część z nas studiowała, a część ulokowała się na jakichś uniwersyteciech i zaczęła nauczać. W połowie lat 70-tych większość z nas pisała doktoraty lub zajmowała się jakąś działalnością naukową. Potem był Radom... I wtedy nastąpiło coś, co należy zawdzięczać chyba wyłącznie Jackowi Kuroniowi - on zatelefonował bezpośrednio do Paryża i powiedział do Smolara: słuchaj stary, mam taki komunikat, proszę cię, wydrukuj to gdzieś, albo nadaj itd. To był absolutna przełom. Od tego momentu rozpoczęła się bardzo bliska współpraca między krajem a emigracją. Nastąpiło przełamanie strachu. To właśnie zrobił Jacek Kuron. Oczywiście, przełamanie strachu w kraju. Myśmy się też oczywiście bali, ale nie o siebie, bo nam nic nie groziło. Dobrze pamiętam moją pierwszą rozmowę telefoniczną z Jackiem Kuronem. Odbierałam od niego jakąś informację. Byłam w Londynie i bałam się... Pytałam: czy rzeczywiście chcesz to publikować...? A on mówił jak wolny człowiek w wolnym kraju przez ten ich podsłuchiwany telefon. Po tym wszystkim na emigracji zaczęliśmy pracować z większym optymizmem. Wiedzieliśmy, że nastąpiła integracja, że powstało znacznie większe środowisko. Nasza rola rysowała się bardzo wyraźnie - czułam to. Należało robić hałas, chodzić, krzyczeć, dawać wywiady, kontaktować się ze środkami masowego przekazu - po to, żeby w Polsce nie można było czynić bezprawia niepostrzeżenie.

- Kuron przełamał barierę strachu, a tym samym i was zaktywizował. A czy wcześniej, jeszcze przed "Aneksem" nawet, była jakaś sprawa, może człowiek - co pozwoliło ci wyjść z po-Marcowego zagubienia i rozgoryczenia?

- Jedną z najważniejszych osób w moim życiu był Sołżenicyn, a właściwie jego książka "Nie kłam". Była przełomową w moim życiu już na Zachodzie. Jej przeczytanie wyzwoliło mnie duchowo. Tym w Polsce dla ludzi był Kościół Ketolicki. Ja nie byłam w jego zasięgu i rolę tę spełnił Sołżenicyn i takie książki jak "Nie kłam". Bardzo ważnym, ale to już w 1976 roku, było spotkanie w Paryżu z Adamem Michnikiem. Jego niesamowita energia polityczna, intelektualna i jego pomysły wywarły na mnie wpływ.

- Kiedy zaczęłaś pisać?

- Zajmuję się literaturą i przez cały czas czytałam literaturę polską, czytałam gazety... zrywałałam się. Chciałam coś na ten temat napisać, ale nie pisałam, bo nie czułam, że mam pozwolenie, że ktoś będzie chciał to czytać. Po 1975 roku uznałam, że powinnam to robić i zaczęłam pisać. Tak więc sama mam dużo do zawdzięczenia Kuroniowi, bo on przełamał ten strach i we mnie.

- Strach... A strach dzisiaj? Stale go ktoś musi w sobie przełamywać. Stale staje np. przed dylematem, czy pisać pod własnym nazwiskiem, czy pod pseudonimem. Z tym, że nie jest to tylko kwestia strachu, ale i skuteczności działań. Te problemy masz niejako z głowy.

- Wielu z nas uciekało z tego właśnie powodu, że nie potrafili funkcjonować w takiej atmosferze, nie zniesili tego napięcia.

- Czy mogłabyś porównać swoją marcową emigrację z dzisiejszą po-Solidarnościową?

- Tamta była emigracją ludzi z zupełnie rozbitego środowiska. Ta zaś jest z masowego ruchu, który został zahamowany, ale który ideowo nie przegreł. Myśmy byli skończeni na wszystkich poziomach. Poznaliśmy nie tylko to, że nasze myślenie polityczne było zupełnie bezsensowne, ale dodatkowo odkryliśmy jeszcze życie. Byliśmy młodzi i dowiadaliśmy się, że ten kolega zeznawał na tamtego kolegę. Ten nie wytrzymał w więzieniu. Tamtego oszukano i załamał się. Z więzienia wyszłam w stanie zupełnego zdruzgotania. Nie wiedziałam czego się mam trzymać. Teraz jest zupełnie inaczej. Inaczej się myśli politycznie, inaczej działa, inaczej emigruje, inaczej siedzi. Jeżeli w ogóle istnieje tu jakiś postęp, to odzwierciedla się on w siedzeniu. Naszym problemem było to, że byliśmy niesamowicie samotni. Moim problemem w więzieniu było to, że wszyscy, łącznie z rodziną, opuścili mnie. To była nieprawda. Ale izolowano nas i trzymano w tej niepewności. Jedyłą książką z tzw. literatury łagiernej, którą przed Mar-cem przeczytałam, była "Wielka czystka" Weissberga. Miałam ją półtora dnia... Siedząc w więzieniu usiłowałam ją sobie przypomnieć, bo nie miałam żadnego innego sposobu, żeby się dowiedzieć jak należy się zachowywać. Nie wiedziałam, po prostu nie wiedziałam co mam robić, co mówić... Byłam zupełnie zagubiona i nie mogłam sobie przypomnieć tej książki. Myślałam: jeśli tylko sobie przypomnę, to będę wiedziała co robić. Ale sobie nie przypominałam...

Po wyjeździe jedną z pierwszych rozmów miałam z Harlingiem-Grudzińskim. Opowiadałam mu, że wyjechałam ze zgliszcz, że to już koniec, ruina i nigdy z tego nic nie będzie. A on z tej perspektywy historycznej i właśnie jako człowiek z pamięcią mówił, że z tego coś będzie, że takie rzeczy się nie marnują. I miał rację. Takie rzeczy się nie marnują, ale myśmy tego wtenczas nie wiedzieli.

- Jak zareagowaliście na Sierpień?

- Unosiliśmy się nad powierzchnią ziemi - tak mi się wydaje. Niesłuchanie się zaktywizowaliśmy. Wielokrotnie w czasie rozmów, które prowadziliśmy, zarzucano nam, że nie jesteśmy realistami politycznymi. Że po tylu latach mieszkania w Ameryce, czy we Francji nie patrzymy na to spokojnie z jakąś perspektywą. Przyznaję, że nie miałam tej perspektywy. Mnóstwo ludzi na Zachodzie mówiło o tym jako o kryzysie. Nie uważałam tego co działo się w roku 1980 za kryzys...

- Patrząc wstecz można dostrzec, że pisma swoją publicystyką jakby prowadziły do Sierpnia. Zmieniała się tematyka, zmieniały się nastroje...

- Oczywiście... Nie wiem, czy będzie kiedyś możliwość prześledzenia tego, dlatego, że najważniejsze rzeczy wydarzyły się tutaj. Również najważniejsze intelektualnie. Myśmy ochoczo dotrzymywali kroku.

- Nie jest żadnym odkryciem, że wszystko co dotyczący Polski rozegra się tutaj. Emigracja może mieć rolę wspomagającą.

- Teraz jednak ta odległość jakby się zmniejsza. Może wymiana myśli będzie odbywała się w sposób bardziej przyspieszony, intensywniejszy i być może z większym pożytkiem... Jak było na początku "Solidarności"? Mówiono, że im dalej od Gdańska, tym ludzie bardziej przestraszeni. Tak samo było na emigracji - im kto był dalej od Gdańska tym bardziej się denerwował, tym większe było zaskoczenie i niezrozumienie. Poza tym dla nas "Solidarność" była też możliwością powrotu do Polski. Dlatego 13 grudnia dla wielu na emigracji był podwójną tragedią. Nie tylko tym, że oni przyszli i zniszczyli wszystko, ale była to również tragedia życiowa. Niektórzy z nas mieli już zaproszenia na jakieś polskie uniwersytety. Nie zdążyli, bo w polskich ambasadach i konsulatach w czasie "Solidarności" nie zostały zmienione listy z nazwiskami osób, którym zabrania się wyjazdu do Polski.

- Bardzo często w publicystyce pojawiają się zwroty: "rozbita emigracja", czy "skłócona emigracja". Na ile jest to slogan, a na ile realna ocena?

- Emigracja... Mnie się wydaje, że to co naprawdę tę emigrację charakteryzuje - to jest niesłuchane zgęszczenie talentu i energii. Jakość tej emigracji nie odpowiada jakości żadnej, chyba że Wielkiej Emigracji. Ci ludzie, którzy przyjechali w ciągu ostatnich 5 lat, to niezwykle duży potencjał intelektualny.

- Trywiałizując - co mądrzejsi uciekają stąd?

- W każdym bądź razie ludzie bardzo zdolni. Mają pomysły na to, co robić, jak robić. Wielu zakłada jakieś pisma, ośrodki, księgarnie, grupy itd., itd. Stąd może bierze się wrażenie, że jest to tak niesłuchanie rozdrobnione. Bardzo często też między koncepcjami tego, co robić, następują konflikty... Powiedzmy to inaczej - sytuacja na emigracji, jeśli chodzi o owe kłótnie, jest może nieco gorsza niż w kraju. Nie wiem. Ale przecież kiedy ludzie przyjeżdżają z Polski, to bez przerwy są opowieści o tym, kto się z kim poróżnił i jaka grupa z jaką się nie kontaktuje... A na emigracji...? Wspomnę choćby Ciołkosza. Polska Partia Socjalistyczna na emigracji była niesłuchanie skłócona. Dzieliła się na mnóstwo grup i grupek. Ale mimo to robili bardzo dużo. Jedną z osób, która była najbardziej skłócona ze wszystkich był Adam Ciołkosz... Może więc emigracja się kłóci, ale emigracja również działa.

- Opowieści o kłótniach być może mają oddziaływać psychologicznie w kierunku powstrzymywania ludzi przed ucieczką z Ojczyzny.

- Rozumiem działanie psychologiczne takiego wartościowania. Z drugiej jednak strony ci, którzy wyjechali i tę barierę pokonali, mogą



dla Polski bardzo dużo zrobić. Ta emigracja jest emigracją niezwykłą. Trzeba się więc nastawiać na to, żeby ją maksymalnie wykorzystać. Ważne jest to, że ludzie zajmują się działalnością polityczną, a najważniejsze, że zajmują się działalnością poligraficzną i wydawniczą. Poza tym ważne jest to, że polscy naukowcy są we wszystkich ośrodkach, że są bardzo dobrzy. Wielu z nich nie mogłoby robić tego co robi, w kraju... Obecnie na uniwersytetach amerykańskich /ktoś to obliczał/ są setki profesorów wywodzących się z emigracji 1968 roku.

- Jak ocenić władzę, która taki potencjał intelektualny po prostu wyrzuca z kraju?

- O to im chodziło, żeby tutaj zostali ludzie, których łatwo da się prowadzić. Oczywiście, ich rachuby nie spełniły się...

- Wspólnie z mężem, Janem Grossem, napisaliście książkę pt. "W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...". Ludzie, którzy was nie znają na ogół mają wrażenie, że książkę napisało dość wiekowe małżeństwo.

- Wiem dlaczego. Popatrz na ten życiorys na obwołucie. Brzmi on tak dostojnie, jakbyśmy byli parą siwych staruszków.

- Nie, to chyba nie tylko dlatego.

- Może również dlatego, że mało ludzi młodych zajmowało się tą problematyką. Na ogół zajmowali się nią ci, którzy przez to przeszli.

- Co skłoniło was do zajęcia się nią?

- Mój mąż, nota bene, był moim kolegą ze szkoły, z klubu itd., jest socjologiem i historykiem. Napisał w Yale doktorat na temat społeczeństwa polskiego w czasie okupacji niemieckiej. Pisał o sprawach, które potem niezwykle pasowały do "Solidarności". Mianowicie o tym, jak społeczeństwo organizuje się i broni przed skomasowanym terrorem. Oczywiście, sytuacja w czasie tworzenia "S" nie była analogiczna do tej w czasie hitlerowskiej okupacji. Potem mój mąż, Jan Gross, pojechał do Instytutu Hovera w Kalifornii. Tam jest bardzo duże archiwum, w którym są między innymi zbiory Rządu Polskiego w Londynie, zbiory generała Andersa oraz zbiory premiera Mikołajczyka. Dwa pierwsze, z wymienionych powyżej, dotyczą w dużej mierze okresu 1939-41, czyli rosyjskiej okupacji wschodnich terenów Polski, losów Polaków wywiezionych do Rosji i potem Armii Andersa oraz ewakuacji tych Polaków, których udało się wywieźć. Dokumenty są to niezwykle. Większość z nich nigdy nie była otwierana. Te materiały, które wydrukowaliśmy w książce, sami otwieraliśmy po raz pierwszy. Nikt przed nami tego nie oglądał. Niesłychanie nas to wciągnęło. Mąż postanowił napisać monografię tego okresu. W zasadzie książka ta jest już gotowa i niedługo powinna się ukazać na rynku. Zanim jednak zabrał się do pisania monografii, otworzył pudła i znalazł wypracowania dzieci i dorosłych, czyli te dokumenty, które złożyły się na książkę "W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...". Dokumenty te zgromadził znany historyk prof. Stanisław Kot. On w tym czasie był ambasadorem Polski w Związku Radzieckim. Miał zmysł historyczny i zbierał wazelką dokumentację. Drugim powodem, dla którego to zbierano było to, iż Rząd Polski w Londynie pragnął pokazać opinii światowej, jak np. wyglądał plebiscyt, według którego Zachodnia Ukraina i Białoruś tak "ochoczo" przyłączyły się do Związku Radzieckiego. Chciano pokazać sfałszowanie tego plebiscytu. Kolekcjonowano wszelkie dokumenty, a potem przekazano je do Instytutu Hovera. Tam są do dzisiaj i tam do nich dotarliśmy. To była bardzo ciężka praca... Wypracowań samych dzieci było 2300. Przeczytaliśmy wszystkie. To literatura holocaustu. Dodatkowo straszliwość tego co czytaliśmy podkreślał malowniczy plener, w którym zlokalizowany jest Instytut. Kontrast między pięknymi drzewami eukaliptusowymi, a wmiętymi i poplamionymi kartkami papieru był nie do zniesienia. Drugą część książki "W czterdziestym nas matko na Sy-

bir zesłali..." stanowią nie mniej straszliwe wypracowania dorosłych. Jednakże cierpienia dzieci zawsze chyba działają silniej na emocje czytającego. My wydaliliśmy w formie książki wypracowania dzieci i dorosłych, którym udało się stamtąd wyrwać. Ale przecież tam zostali ludzie, którzy tak mieszkają zawsze, którzy tam zostali zesłani tuż po rewolucji i później. To są Rosjanie, Ukraińcy... Oni nigdy się nie wyrwą. I to jest naprawdę horror.

- Po ilu latach przyjechałaś do Polski?

- Po trzynastu... Na początku okresu gierkowskiego był taki krótki moment, kiedy cztery osoby z naszej emigracji zostały wpuszczone do Polski. Było to, że się tak wyrażę, badanie pilotowe. Bardzo chciałam wtedy wrócić i przyjechałam emocjonalnie nastawiona na to, że zostanę. Wizę dostałam na 10 dni i zaraz złożyłam podanie o przedłużenie... No i, reasumując, zostałam z Polski wyrzuczona już po tych 10 dniach, nawet wcześniej. Oni przedłużyli mi wizę, ale wezweli mnie na przesłuchanie i trzymając w ręce paszport zażądali oświadczenia, że nie spotkam się z przyjaciółmi, bo wpuszczono mnie tylko do rodziny. Nie mogłam tego zrobić. Anulowano mi więc wizę i wręczono wizę wyjazdową. Pozostałych spotkało to samo.

- Czyli było to takie sprawdzenie, ile jesteście w stanie zapłacić za powrót na Ojczyznę łono, a nie tzw. gierkowska mała odwilż?

- Okazało się, że nie dość i do środkowego okresu gierkowskiego już nikogo nie wpuszczono... Potem wpuszczono ludzi, którzy dostali obywatelstwo w Szwecji. Ciągłe była jednak grupa ludzi, która w żaden sposób nie mogła dostać wiz. Bywało tak, że ktoś nie dostawał wizy w swoim kraju zamieszkania, ale jechał do innego i otrzymywał, bo tam nie było go na liście. Byli jednak tacy ludzie z emigracji i ciągle są, którzy są na listach ambasad polskich we wszystkich krajach.

- A jednak wyjechałaś...

- To był przypadek... Dostałam stypendium, tzn. zostałam zgłoszona przez uniwersytet jako członek grupy profesorów, dla których zorganizowano ten wyjazd. Cała ta grupa wizytujących Polskę profesorów uniwersytetów amerykańskich została zatwierdzona przez polskie Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego. Na trzy dni przed przyjazdem do Polski wydawano wizy i ja nie dostałam. Na to organizator, czyli Instytut w Chicago, niesłychanie się oburzył, bo niby jak to jest? Ministerstwo zatwierdziło, a tutaj odmowa wydania wizy. Różnice kompetencji między różnymi instytucjami rządowymi? I dostałam wizę.

- Jak wyglądała konfrontacja twoich wyobrażeń z tym co rzeczywiście zobaczyłaś, wysłuchałaś?

- Jeżeli patrzy się na sytuację polską z zewnątrz, to widać dwie jej charakterystyczne cechy. Jedna - ludzie nie mogą już absolutnie zaakceptować tego, co robi ta władza. Nastąpiła radykalizacja, zanik wiary w to, że to się jakoś da naprawić, bo rząd dał odpowiedź negatywną. Ludzie są więc bardziej nastawieni na "nie". Druga - wzrost świadomości, że sytuacja jest beznadziejna. Nie wiadomo jak z niej wyjść, nie wiadomo, którą drogą. Połączenie tych dwóch elementów z zewnątrz wygląda strasznie. Z bliska widać, że jest niesamowity duch w narodzie, duch oporu, duch przedsiębiorczości, energia, pomysły, życie niezależnie od władzy... To stałe przewycięzanie tej beznadziejności zrobiło na mnie niesamowite wrażenie.

- Jakie są twoje prognozy żywotności komunizmu?

- Związek Radziecki w zasadzie traktowany jest przez Zachód nie jako jednostka ideologiczna, a raczej jako super-potęga, która ma

swoje wpływy, swoje terytoria, których będzie bronić militarnie. W sensie ideologicznym komunizm już dawno umarł, gnije i śmierdzi, ale to nie ma nic wspólnego z żywotnością Związku Radzieckiego. Ideologia komunistyczna przecież głównie tym się charakteryzuje, że wszystko potrafił zniszczyć. Nic się jej nie oparło: ani życie, ani trawa, ani powietrze, ani fabryka... nic, absolutnie nic.

- A ludzie?

- Ludzie, którzy potrefiają się temu opierać są bohaterami. Jak nas przekonał okres "Solidarności", ów opór to jedyny warunek, żeby zostać człowiekiem, żeby to zniszczenie nie doszło do duszy i do serca. W momencie, kiedy człowiek się oprze, ten diabeł jakby traci kły.

- Bardzo dziękuję za tę rozmowę. Szkoda, że miałyśmy na nią tak mało czasu. Sądzę, że trzeba przeprosić czytelników, iż właśnie z powodu braku czasu niektóre problemy, o których rozmawialiśmy, nie zostały zgłębione. Może się to uda następnym razem. Zarezerwuję sobie wtedy czas na początek twojego pobytu, a nie tuż przed odlotem...

## Kilka uwag o ordynacji wyborczej

Potoczna opinia na temat wyborów w PRL głosi, iż impreza ta nie ma nic wspólnego z wyborami. W 1981 r. władze uznały częściowo ten pogląd i pod naciskiem "Solidarności" rozpoczęły rozmowy na temat demokratyzacji prawa wyborczego przed planowanymi na wiosnę '82 wyborami do rad narodowych. Jak wiemy, demokratyzacji sobie one jednak w istocie nie życzyły. Obawa przed demokratyzacją właśnie wywołała ich /władz/ reakcję w postaci stanu wojennego. Mimo to, po 13 grudnia oficjalnie zapewniano, że "nie ma powrotu do sytuacji sprzed Sierpnia". Czteroletnia kadencja obecnego sejm upełniła, zgodnie z konstytucją, wiosną 1984 r., ale na przeprowadzenie wyborów zdecydowano się dopiero teraz<sup>\*)</sup>, po "widocznych postępach normalizacji". Nadal oficjalnie twierdzi się, że "odnowa socjalistyczna postępuje", czego wyrazem ma być także nowa ordynacja wyborcza. Twórcy samej ustawy, jak i mass-media podkreślają z wielkim naciskiem, że jest to wyraźny krok w stronę większej reprezentatywności sejm u. Tak uznał, przynajmniej publicznie, również poseł Edmund Osmańczyk i głosował za przyjęciem ordynacji. Podstawowym argumentem na rzecz tezy o demokratyzacji prawa wyborczego jest zwiększenie ilości podmiotów uprawnionych do zgłaszania kandydatów. Twierdzi się zatem, że o ile poprzednia ordynacja przyznawała w tej kwestii praktyczny monopol FJN-owi, to obecnie zezwala na zgłaszanie kandydatów także organizacjom pozostającym poza jego nowym wcieleniem czyli PRON-em.

Aby więc uniknąć zarzutu o powierzchowność, dokonajmy spokojnej analizy nowej ordynacji. Wykazując maksimum dobrej woli prześledzimy kluczowe dla ordynacji kwestie: zgłaszania kandydatów, ich zatwierdzenia i obliczania wyników głosowania. Zanalizujemy też inne istotne z punktu widzenia reprezentatywności wyborów artykuły ordynacji, pominiemy natomiast zagadnienia drugorzędne, takie jak: nieobowiązkowa

<sup>\*)</sup> Jest to oczywiście złamanie konstytucji, ponieważ sejm przedłużył swoją kadencję bez zmiany konstytucji /która to normuje/ lecz tylko, najpierw, bezterminowo uchwalała, a następnie z oznaczeniem terminu - ustawą. Jednakże oba te akty prawne są podrzędne wobec konstytucji i jako takie nie mogą jej zmieniać.

tajność głosowania czy niejasności co do ponownych wyborów na nie ob-  
sadyne w pierwszym głosowaniu mandaty z tzw. listy krajowej. Interesu-  
je nas tu odpowiedź na pytanie: czy i na ile ordynacja wyborcza za-  
pewnia przeniesienie do sejmku istniejącego w kraju pluralizmu poli-  
tycznego? Wobec tego zasadniczego pytania rozmaite szczegółowe niedo-  
magania ordynacji wydają się drugorzędne, a przy negatywnej odpowie-  
dzi na pytanie podstawowe - zgola nieistotne.

W artykule 1 czytamy, że "lud pracujący wybiera swoich przedstawi-  
cieli na posłów do Sejmu spośród obywateli o nieposzlakowanej posta-  
wie moralno-politycznej, zaangażowanych w działalności społecznej,  
dających rękojmię należytego wypełniania powierzonego mandatu dla do-  
bra wyborców i całego społeczeństwa zgodnie z konstytucyjnymi zasada-  
mi ustroju PRL".

Demokratyczna doktryna przyjmuje, że lud - i to lud w ogóle, nie  
tylko lud pracujący - wybiera do parlamentu po prostu tych, których  
chce wybrać. W konsekwencji prawo wyborcze w krajach demokratycznych  
nie stawia kandydatom wymagań w rodzaju "nieposzlakowanej postawy mo-  
ralno-politycznej", "zaangażowania w działalność społeczną" czy "dawa-  
nia rękojmi należytego wypełniania mandatu". W szczególności kandy-  
dat na posła /deputowanego, reprezentanta, senatora/ nie jest zobowi-  
ązany do obrony zasad ustrojowych swego państwa. Gdyby tak było,  
to do demokratycznych wyborów nie dopuszczono by partii komunistycz-  
nych. Gdyby prawo przyglądało się moralności pretendentów do mandatu,  
to nie mógłby kandydować taki np. Jean-Marie le Pen - oskarżany dziś  
publicznie o zbrodnie popełnione w czasie wojny algierskiej. Jednak-  
że prawodawcy, mając pewne zaufanie do wyborców powiadają: niech oni  
rozstrzygną czy chcą obdarzyć zaufaniem Iksa czy Igreka - niezależ-  
nie od tego, co my sądzimy o ich moralności.

Sprawdzając problem do realiów PRL-u łatwo wykazać, że tego ro-  
dzaju warunki dają podstawę do pozbawienia możliwości kandydowania  
tych, których uzna się za nie wypełniających tych warunków. Kto ma  
decydować o tym, czy kandydat daje lub nie daje rękojmi, albo czy  
wykazuje się nieposzlakowaną postawą - tego ustawa nie mówi. Powsta-  
je zatem obawa, że decydować o tym będą same władze. Czy to nie próż-  
na obawa? Ano, zobaczymy.

Artykuł 2 powiada, że wybory "odbywają się w oparciu o deklarację  
wyborczą Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego". I to stwierdze-  
nie - podobnie jak te z art. 1 - nie mogłoby się znaleźć w prawie wy-  
borczym żadnej demokracji. Wszak normalnie to właśnie wybory służą  
wyłonieniu jakiegoś programu politycznego z wielu /choćby dwóch/  
przedłożonych wyborcom propozycji. Deklaracja wyborcza to tyle, co  
platforma, czyli program wyborczy. Stwierdzenie, że wybory odbywają  
się w oparciu o jedyny program wyborczy, równa się wskazaniu zwycięz-  
cy przed walką. Mówiąc konkretnie równałoby się wprowadzeniu np. do  
amerykańskiej ordynacji wyborczej przepisu, który mówi, że wygrywają  
kandydaci reprezentujący program republikanów /albo demokratów, ale  
tylko jednych z nich/, a do angielskiej - takiego, który zapewni zwy-  
cięstwo na przykład konserwatystom.

Ale nie załamujmy się. Wszak zapewniają nas, że PRON jest płasz-  
czyzną spotkania Polaków o różnych orientacjach politycznych, że o-  
wszem, pluralizm jest w nim zapewniony. Idźmy więc dalej.

Następne artykuły części ogólnej precyzują to, co w języku prawni-  
czym nazywa się zasadami prawa wyborczego. Wybory mają więc być po-  
wszechne, równe, tajne i bezpośrednie. Zwraca tu uwagę brak piątego

przymiotnika. Ustawa nie mówi, że wybory są proporcjonalne, ale nie mówi też, że są większościowe. Proporcjonalność oznacza, że rozdziel mandatów w okręgu odbywa się między poszczególnymi listami proporcjonalnie do ilości głosów uzyskanych w głosowaniu. Większościowość natomiast - że mandat w okręgu zdobywa kandydat, który uzyskał najwięcej, lub /gdy kandydatów jest tylko dwóch/ po prostu więcej głosów. Gdy wybory nie są ani proporcjonalne, ani większościowe, ani też nie są kombinacją tych dwóch systemów oznacza to, że wykluczony jest element konkurencji, czyli że lista jest jedna a zatem jeden program /patrz art.2/.

Lecz czołowi publicyści polityczni - ci bardziej wyrafinowani - tłumaczą nam, że wprawdzie pluralizm polityczny sensu stricto nie jest u nas możliwy z powodów geopolitycznych, ale w ramach PRON-u możliwy jest nasz mały pluralizm; co prawda socjalistyczny lecz à la polonaise. Kluczem do niego ma być zawarty w ordynacji tryb zgłaszania kandydatów. Przyjrzyjmy mu się zatem.

Według ordynacji kandydować można albo w danym okręgu, albo z tzw. listy krajowej\*). Żeby jednak kandydować trzeba być najpierw zgłoszonym, czy - jak mówi ordynacja - "wysuniętym" do kandydowania. Kto więc zgłasza kandydatów?

Na listę krajową zgłasza wyłącznie Rada Krajowa PRON. Przechodząc z płaszczyzny prawnej na polityczną można bez ryzyka popełnienia błędu na razie stwierdzić, że kandydatem może być tu tylko osoba zaakceptowana przez Radę Krajową PRON. Że zaś ową Radą rządzi, via sekretarz generalny, PZPR, to dla nikogo nie jest tajemnicą. Oczywiście partia może - jeśli zechce - włączyć na tę listę pewną liczbę kandydatów mających poglądy niekoniecznie komunistyczne. Jaskiernia powiedział wręcz w jednym z wywiadów, że na liście krajowej mogą się między innymi znaleźć działacze katoliccy związani z Episkopatem. Ale czym innym jest istnienie furtki, którą władze mogą wpuścić do sejmu jakąś liczbę niekomunistów, a czym innym stworzenie mechanizmu gwarantującego społeczeństwu prawo do wyboru kandydatów niezależnych od władz. Przypominam w tym miejscu, że nasze pytanie brzmi: czy i na ile ordynacja zapewnia przeniesienie do sejmu istniejącego w kraju pluralizmu politycznego. Jest zrozumiałe, że na etapie listy krajowej na to pytanie należy odpowiedzieć przecząco.

Inaczej rzecz się ma z listami okręgowymi. Prawo zgłaszania kandydatów mają tu bowiem: wojewódzkie władze /właściwie dla danego okręgu/ PRON, PZPR, ZSL, SD, Stowarzyszenie PAX, ChSS, PZKS - to kategoria pierwsza. Prawo to przysługuje następnie: wojewódzkiom władzom związków zawodowych, społeczno-zawodowym organizacjom rolników, socjalistycznym związkom młodzieży, organizacjom kombatanckim i kobiecym - to kategoria druga. Istnieje wszelako i trzecia kategoria podmiotów uprawnionych do zgłaszania kandydatów. Są to władze wojewódzkie "innych organizacji społecznych o zasięgu krajowym". Nadanie tego uprawnienia tej właśnie kategorii jest chlubą naszych ustawodawców. Dowodzą oni, że to zapewni naszemu systemowi wyborczemu dużą reprezentatywność w stosunku do realnie istniejących podziałów politycznych. Czy na pewno?

Na tym poziomie analizy można stwierdzić, że ordynacja daje możliwość zgłoszenia pewnej - zresztą niewielkiej - liczby kandydatów niezależnych. O ile bowiem kategoria pierwsza, czyli PRON i "gruba szóstka" /PZPR, stronnictwa sojusznicze i koncesjonowane grupy wie-rzących/ nie pozostawiają żadnej swobody manewru, a kategoria druga daje ją w stopniu minimalnym /być może Stowarzyszenie Filmowców Pol-

\*) Nie oznacza to w żadnym razie dualizmu politycznego. Obywatel nie będzie wybierał między tymi listami, lecz spośród kandydatów umieszczonych na obu tych listach.

skich lub inne niezupełnie spacyfikowane stowarzyszenie twórcze mogłoby tu wystąpić jako związek zawodowy, może jakieś porozumienie nowych związków odważy się wystawić kogoś w miarę niezależnego?/, o tyle kategoria trzecia daje w tym względzie możliwości, powiedzmy, za-uważalne.

Niezależnych kandydatów mogłyby zgłosić np. towarzystwa naukowe /Polskie Towarzystwo Historyczne, Polskie Towarzystwo Socjologiczne i inne/, PTTK, Polski Związek Niewidomych i wiele innych na wędkarczach i filatelistach kończąc. Prasa podała wiadomość o istnieniu w Polsce ok. 700 ogólnokrajowych organizacji społecznych - tyle jest więc potencjalnych organizacji mogących zgłosić kandydatów.

Założmy, że wiele z nich, przełamując strach i powszechne dziś zniechęcenie, zgłosi niezależnych kandydatów. Co dalej?

Dalej następuje faza zatwierdzania kandydatów przez tzw. konwenty wyborcze. Sama ordynacja i tym bardziej prasa nazywają je "organami społecznymi". Konwentów teoretycznie nikt nie powołuje, konstytuują się one same, powiadamiając o tym tylko Radę Państwa. Pozostaje jeszcze tylko wyjaśnić jeden problem: kto ma prawo utworzyć konwent? Ordynacja przewiduje dwa ich rodzaje: ogólnopolski i wojewódzkie. Ogólnopolski Konwent Wyborczy składa się z przedstawicieli Rady Krajowej PRON i przedstawicieli naczelnych władz "grubej szóstki" - ordynacja zapewnia im 2/3 miejsc. Pozostałe 2/5 miejsc zajmują przedstawiciele naczelnych władz lub ogólnopolskich porozumień tych organizacji, które określiliśmy powyżej jako kategorię drugą podmiotów zgłaszających kandydatów, a możemy je nazwać prorządowymi organizacjami społecznymi. Tak więc sama ordynacja zapewnia władzom i ich sojusznikom praktycznie 100% miejsc w OKW.

Ochodząc w tym miejscu od tekstu ustawy warto przyjrzeć się składowi personalnemu wojewódzkich konwentów, podaje je prasa codzienna. Okazuje się, że jako związki zawodowe występują w nich po prostu i wyłącznie nowe związki /a nie np. nie w pełni kontrolowane związki twórcze/; jako społeczno-zawodowe organizacje rolników Wojewódzkie Związki Kółek i Organizacji Rolniczych, będące czynnikiem "socjalistycznych przemian" na wsi; jako socjalistyczne związki młodzieży - ZSMP, ZMW, ZSP i ZHP \*) ; jako organizacje kombatanckie - ZBWiD; a jako organizacje kobiece - Liga Kobiet Polskich.

Wojewódzkie konwenty wyborcze składają się z przedstawicieli władz wojewódzkich tych samych organizacji, które wchodzi do OKW. Zachowana też zostaje gwarancja większości 3/5 dla PRON-u i "grubej szóstki". Jedyną różnicą polega na odmienności szczebla. OKW jest złożony z przedstawicieli władz krajowych odpowiednich organizacji, konwenty wojewódzkie - z przedstawicieli władz wojewódzkich.

Jeśli dodamy do tego, że przewodniczącym każdego konwentu jest członek władz /odpowiedniego szczebla/ PRON-u, jego trzema zastępcami członkowie odpowiednich władz PZPR, ZSL i SD, a sekretarzem najczęściej kierownik wydziału polityczno-organizacyjnego właściwego komitetu PZPR - nie będziemy mieć wątpliwości co do kierunku działania takiego "organu społecznego". Ogólnopolski Konwent Wyborczy nie będzie nawet musiał selekcjonować kandydatów zgłoszonych na listę krajową, ponieważ wystarczającej selekcji dokona z pewnością zgłaszający, czyli RK PRON. Cała istota ordynacji i zarazem cała odpowiedź na interesujące nas pytanie zawarta jest w instytucji wojewódzkich konwentów wyborczych - organów zatwierdzających kandydatów na listy okręgowe.

Wyobraźmy sobie, że kilka związków twórczych i zawodowych oraz - powiedzmy - setka w miarę niezależnych organizacji społecznych prze-

\*) W ZHP istnieje silny nurt opozycyjny, ale władze są w całości prokomunistyczne.

łamuje owo powszechne zniechęcenie do prl-owskich wyborów. Nie przejmują się one tym, że na co dzień ulegają różnym naciskom i ograniczeniom idącym "z góry" i że wystawienie niepokornych kandydatów naraża je na dalsze przykrości, ani tym, że ich kandydaci - gdy zostaną posłami - będą zmajoryzowani przez posłów posłusznych, ani tym wreszcie, że sejm odgrywa w istocie podrzędną rolę w systemie politycznym PRL. A więc tych sto i kilka podmiotów wystawia własnych kandydatów.

Od tego momentu ich los przechodzi w ręce wojewódzkich konwentów wyborczych. Konwent ma wytypować średnio ok. 20-30 kandydatów. Mając taki a nie inny skład, niezależnie od względów politycznych, a z czyścgo kumoterstwa raczej zatwierdzi kandydata ZBOWiD-u niż Związku Niewidomych, kandydaturę Ligi Kobiet Polskich niż - powiedzmy - jakiego stowarzyszenia hafciarek ludowych. Natomiast względy polityczne skłonią go niewątpliwie do wykluczenia wszelkich kandydatów o nastawieniu opozycyjnym.

Gdyby jednak jakimś cudem konwent przepuścił kandydata nie dość pokornego /mało to możliwe, ale założmy, że mogłoby to nastąpić wskutek braku wystarczającej informacji o jakimś kandydacie z głębokiej prowincji/, to i tak jego zatwierdzenie przez konwent nie byłoby ostateczne.

Okazuje się, że ordynacja przewiduje obok konwentów jeszcze innego rodzaju "organy społeczne": obwodowe, okręgowe i państwową komisję wyborczą. Podstawowym celem komisji jest obliczanie wyników głosowania w obwodzie /czyli w lokalu wyborczym/, w okręgu /czyli łącznie we wszystkich obwodach danego okręgu/ i w całym kraju. Ale istnieje i druga, ważna funkcja tych organów. Jest nią rejestrowanie list kandydatów; list otrzymanych od właściwych konwentów\*). Gdyby zarejestrowanie listy było zwykłym obowiązkiem komisji, to lista ustalona przez konwent byłaby ostateczna. Lecz komisja ma prawo jej nie zarejestrować, jeżeli "zgłoszona lista /.../ wykazuje wady". Co to są wady, ustawodawca nie mówi, stwierdza natomiast, że gdy wywiąże się spór między komisją a konwentem, sprawę rozstrzyga ostatecznie Państwowa Komisja Wyborcza.

Komisja czy konwent, powie ktoś, czy to nie wszystko jedno? W zasadzie tak, ale w szczególnym przypadku /owej graniczącej z cudem możliwości przepuszczenia przez konwent wojewódzki nieprawomyślnego kandydata/, może to mieć znaczenie. Rzecz się wyjaśnia po sprawdzeniu, kto powołuje komisje wyborcze i jaki jest ich skład. Obwodowe komisje powołują prezydja rad narodowych stopnia podstawowego "spośród wyborców". Komisje wojewódzkie powołują prezydja wojewódzkich rad narodowych "spośród wyborców przedstawionych przez prezydja rad wojewódzkich PRON i wojewódzkie władze "grubej szóstki". Kropka - nie ma tu już mowy nawet o prorządowych organizacjach społecznych typu ZSMP, a tym bardziej o "innych organizacjach społecznych o zasięgu krajowym". Skład komisji jest więc jeszcze bardziej pryncypialnie komunistyczny niż skład konwentów, żadna dosłownie niespodzianka nie jest tu możliwa. Tym bardziej nie zdarzy się cud w Państwowej Komisji Wyborczej powoływanej przez Radę Państwa spośród wyborców\*\*) zgłoszonych przez władze PRON-u i "grubej szóstki" ale szczebla krajowe-

\*) Za wyjątkiem komisji obwodowej, bo w obwodzie głosuje się na listę okręgową.

\*\*) Użyta przez ordynację formuła o powoływaniu komisji "spośród wyborców" zamiast np. spośród delegatów czy przedstawicieli zgłoszonych przez władze odpowiednich organizacji - ma uzasadniać tezę o społecznym charakterze tych ciał. W propagandzie twierdzi się, że obywatel-wyborca zarówno głosuje, jak i zasiada w organie kontrolującym wyniki głosowania.

go. Jeśliby więc któryś z wojewódzkich konwentów przepuścił przez po-  
myłkę nieprawomyślną kandydaturę, to z pewnością błędu tego nie po-  
wtórzy komisja wyborcza, a już na pewno Państwowa Komisja Wyborcza.

Prześledziliśmy drobiezgowo fazy zgłaszania i zatwierdzania kandy-  
datur. Możemy na tej podstawie stwierdzić, że nie tylko bez akcepta-  
cji, ale i bez inicjatywy władz przez przedwyborcze sito nie przejdzie  
żaden niepokorny kandydat.

Jeśli władze zdecydują się wpuścić do sejmu paru niekomunistycz-  
nych posłów, to one same będą o tym decydować, a nie wyborcy. Chodzi  
zapewne o to, by tych kilku posłów znalazło się w sejmie nie w wyni-  
ku społecznego poparcia, nie zgłoszonych oddolnie. Przeciwnie - nie-  
zależne kandydatury byłyby dla władz o tyle niewygodne, że kogoś by  
reprezentowały, jakieś środowisko. Otóż takiego posła jest nieco  
trudniej spacyfikować niż tego, który - choć nie jest komunistą -  
znalazł się w sejmie tylko dzięki inicjatywie najwyższych władz. To  
tłumaczy i sens listy krajowej i sens zbudowania w ustawie systemu  
kilkakrotnych zabezpieczeń przed wdarcie się na listy okręgowe nie-  
posłusznym kandydatów.

Tak więc na nasze podstawowe pytanie możemy z całą odpowiedzial-  
nością odpowiedzieć: nie. Ordynacja w żadnym stopniu nie zapewnia re-  
prezentatywności sejmu. Natomiast daje ona władzom możliwość wprowa-  
dzenia doń pewnej liczby posłów niekomunistycznych, ale w pełni od  
tychże władz zależnych.

Zwolennikom takiego sposobu wchodzenia do sejmu dedykuję na za-  
kończenie rozdział 15 ordynacji, a w szczególności artykuły 108-112,  
poświęcone nowej w pr-owskiem prawie wyborczym instytucji: odwołania  
posła przez wyborców. Gdy je przeczytają, dowiedzą się między inny-  
mi, że z wnioskiem o odwołanie posła może wystąpić RK PRON, oraz że  
wniosek taki musi uzyskać poparcie 1/10 wyborców, a także, że po  
spełnieniu tych warunków sejm "może zwrócić się do wyborców o odwoła-  
nie posła". Odwołanie przez wyborców oznacza zwyczajnie zorganizowa-  
nie głosowania jak przy właściwych wyborach, z tą różnicą, że jest  
tylko jeden kandydat i to nie do wybrania lecz do odwołania. Głosu-  
jąc "za" - jak to jest w zwyczaju osób uczestniczących w wyborach -  
głosuje się na rzecz odwołania danego posła. Kłopotów z frekwencją  
nie będzie, ponieważ poseł zostaje odwołany, gdy "za" wypowie się  
"większość wyborców uczestniczących w głosowaniu". Innymi słowy, je-  
śli przyjęcie np. 1 /słownie jeden/ wyborca i zagłosuje "za", to  
nasz poseł-niekomunista zostanie jak najlegalniej odwołany ze swego  
zaszczytnego i odpowiedzialnego stanowiska.

Śmieszą mnie głosy o "nieoddawaniu pola" i potrzebie wchodzenia  
do sejmu na warunkach określonych przez władze. Niewątpliwie jednak  
dyskusję taką trzeba będzie podjąć celem reedukacji paru marzycieli  
politycznych podających się za odpowiedzialnych i racjonalnych poli-  
tyków, przeciwnych emocjonalnemu - jak mówią - hasłu bojkotu sejmu.  
Niech więc zakończenie tego tekstu będzie skromnym przyczynkiem do  
wej dyskusji.

BRUNO



# DOKUMENTY

POSTANOWIENIE NR /85

PREZYDIUM RZĄDU

z dnia 1985 r.

w sprawie przyznania dodatkowych środków rzeczowych i finansowych dla Komitetu do Spraw Radia i Telewizji "Polskie Radio i Telewizja" związanych z realizacją zadań programowo-produkcyjnych dotyczących kampanii wyborczej do Sejmu PRL w 1985 r.

W celu stworzenia warunków do wykonania dodatkowych zadań programowo-produkcyjnych radia i telewizji w okresie kampanii wyborczej do Sejmu PRL w 1985 r. - Prezydium Rządu postanawia, co następuje:

1. Przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów zwiększy:
  - 1/ ilość godzin emisyjnych programu telewizyjnego o 160 ponad ustalenią zawartą w CPR na 1985 r.,
  - 2/ limit przyznany Komitetowi do Spraw Radia i Telewizji "Polskie Radio i Telewizja" w CPR na 1985 r. w zakresie:

- nakładów inwestycyjnych	o kwotę	461.600 tys.ż
- wynagrodzeń	o kwotę	82.200 tys.ż
- importu gotówkowego z II obszaru płatniczego	o kwotę	1.523 tys. \$
2. Minister Komunikacji przyzna dodatkowo asygnaty w ilości 80 szt. na zakup służbowych pojazdów samochodowych /Wołga-Combi, FSO-combi, Awia - różne typy/.
3. Minister Finansów pokryje z rezerwy budżetu centralnego skutki finansowe wynikające z niniejszego postanowienia w kwocie 1.039.300 tys.ż.
4. Przewodniczącego Komitetu do Spraw Radia i Telewizji "Polskie Radio i Telewizja" upoważnia się do stosowania podwyższonych stawek w stosunku do stawek przewidzianych w obowiązujących tabelach wynagrodzeń za udział w przygotowaniu i realizacji imprez związanych z kampanią wyborczą do Sejmu PRL. Upoważnienie to może być również stosowane w odniesieniu do limitów honoracyjnych dla dziennikarzy pełniących funkcje kierownicze.
5. Postanowienie obowiązuje od dnia powzięcia.

PREZES RADY MINISTRÓW

## U z a s a d n i e n i e

do Postanowienia Prezydium Rządu dot. kampanii wyborczej do Sejmu PRL w programach radia i telewizji.

Złożone uwarunkowania sytuacji społeczno-politycznej, w jakich prowadzona będzie tegoroczna kampania wyborcza do Sejmu, nakładają na Komitet do Spraw Radia i Telewizji specjalne zadania, o dużej skali trudności.

Radio i telewizja powinny zapewnić bogatą i barwną oprawę informacyjno-propagandową kampanii wyborczej.

Przyjęto założenie, iż oprawa informacyjno-propagandowa tegorocznych wyborów musi różnić się i odbiegać od dotychczasowych stereotypów i tradycyjnych wzorców, m.in. po to aby tworzyć u radiosłuchaczy i widzów poczucie zadowolenia i przekonania o nowatorskich dzia-

laniach władzy. Formy działań informacyjno-propagandowych powinny poprzez innowacyjne rozwiązania utrwalac przekonanie, że zmieniała się nie tylko ordynacja wyborcza i treść programu wyborczego, ale zmianie uległ również sposób komunikowania się organizacji politycznych i organów władzy ze społeczeństwem, a także styl pracy radia i telewizji. Poprzez zmianę form i stylu oprawy kampanii wyborczej do Sejmu rozumiemy prezentowanie w programach lokalnych i centralnych radia i telewizji, przygotowywanych z rozmachem widowiskowo-rozrywkowych imprez, które stanowiłyby tło dla eksponowania haseł wyborczych oraz prezentowania kandydatów na posłów.

W programie oprawy informacyjno-propagandowej kampanii wyborczej do Sejmu w 1985 r. w radiu i telewizji przewiduję m.innymi:

- wykorzystanie imprez rozrywkowych planowanych przez różne instytucje współdziałając w nadaniu im telewizyjnego i radiowego kształtu,
- organizowanie specjalnie "pod potrzeby" programowe radia i tv masowych imprez o charakterze populistycznym, typu jarmarków, festynów, turniejów i koncertów; imprezy tego rodzaju powinny stanowić tło dla prezentacji kandydatów na posłów,
- zwiększenie liczby programów widowiskowych, przygotowywanych w terenie, poza studiami radiowymi i telewizyjnymi,
- poprawienie "adresowalności" programów radiowych i telewizyjnych, tj. przygotowanie większej liczby programów, konstruowanych specjalnie z uwzględnieniem upodobań i gustów grup wiekowych, środowiskowo-zawodowych, oraz społeczności lokalnych;
- zwiększenie czasu trwania programów lokalnych radia i tv;
- wprowadzenie na antenę radiową i telewizyjną klasycznych form reklamy politycznej, w tym reklamy adresowanej środowiskowo np. teledyski dla młodzieży;
- wylansowanie piosenek, które w modnej formie muzycznej propagowałyby treści patriotyczne, społeczne oraz rozbudzały optymizm i nadzieję;
- zwiększenie liczby reportaży i transmisji z terenu, zwłaszcza z województw, w których nie działają ośrodki radiowe i telewizyjne.

Wszelkie tego typu przykładowo podane formy działań radiowo-telewizyjnych wymagają dużych nakładów finansowych oraz zaangażowania dodatkowych środków technicznych - transmisyjnych, rejestracyjnych, a także transportowych /te ostatnie nie zaspokajają nawet rutynowych potrzeb RTV/.

Szczegółowe rozliczenie dodatkowych potrzeb dotyczących nakładów inwestycyjnych, limitu importowego, limitu wynagrodzeń oraz kwot zwiększenia budżetu Komitetu w roku 1985 zawiera załącznik nr 1 i nr 2.

Sprzęt transmisyjny i reporterski zakupiony w związku z kampanią wyborczą do Sejmu rozwiązałyby analogiczne problemy dla obsługi przedzjazdowej kampanii sprawozdawczo-wyborczej przez X Zjazdem PZPR.

Załącznik nr 1

### R O Z L I C Z E N I E

potrzeb w limitach importu gotówkowego z KK i nakładach inwestycyjnych oraz w limitach wynagrodzeń w Centralnym Planie Rocznym na 1985 rok.

#### I. Limity importu gotówkowego z KK

1. Kamery ENG z zapisem i osprzętem	5 szt.	-	200 tys. \$
2. Kamery ENG/EFP z zapisem	2 szt.	-	130 tys. \$

3. Zestawy montażowe ENG	7 szt.	-	350 tys.	§
4. Kamery półprofesjonalne	3 szt.	-	30 tys.	§
5. Transkodery Pal/Secam	12 szt.	-	48 tys.	§
6. Magnetowidy stacjonarne "1"	7 szt.	-	280 tys.	§
7. Magnetowidy przenośne "1"	5 szt.	-	125 tys.	§
8. Telepromptery	4 szt.	-	20 tys.	§
9. Mikrofony, monitory, sprzęt oświetleniowy, osprzęt			120 tys.	§
10. Taśmy magnetyczne i filmowe			230 tys.	§
r a z e m			1.523 tys.	§

1.523 tys. § x 159 zł/1§ x 130% /marże +  
 prowizje central handlu zagranicznego/ = 314,8 mln zł

## II. Limity nakładów inwestycyjnych

1. Na zakupy dewizowe sprzętu /część I, poz.1-9/ 1.303 tys. § x 159 zł/1§ x 130%	=	269,3 mln zł
2. Na zakupy złotówkowe z tego:		88,0 mln zł
a/ samochody Wołga-Combi - 20 szt.		25,0 mln zł
b/ samochody Fiat 125P-combi 30 szt.		30,0 mln zł
c/ samochody "Awia" różne typy 30 szt.		33,0 mln zł
3. OGÓŁEM limit nakładów inwestycyjnych /poz. 1 + 2/		<u><u>357,3 mln zł</u></u>

## III. Limit wynagrodzeń

1. <u>wynagrodzenia osobowe</u>		14,1 mln zł
z tego:		
- godziny nadliczbowe	1,4 mln zł	
- średnie urlopowe od zwiększonych honorariów	9,7 mln zł	
- prace ponadprogramowe orkiestr i zespołów muzycznych PRiTV	3,0 mln zł	
2. <u>wynagrodzenia bezosobowe</u>		0,7 mln zł
3. <u>honoraria</u>		67,4 mln zł
z tego:		
a/ radio	22,7 mln zł	
b/ telewizja	44,7 mln zł	
4. OGÓŁEM limit /poz. 1 + 2 + 3/		<u><u>82,2 mln zł</u></u>

ZAŁ. Nr 2

## R O Z L I C Z E N I E

kwotowe potrzeb zwiększenia budżetu Komitetu do Spraw Radia i Telewizji w 1985 roku.

I. Koszty inwestycyjne /zgodnie z częścią II w zał. nr 1/	357,3 mln zł
II. Koszty eksploatacyjne z tego:	682,0 mln zł
1/ wynagrodzenia osobowe z pochodnymi w tym:	20,6 mln zł
a/ wynagrodzenia osobowe	14,1 mln zł
b/ pochodne /składki na ZUS, odpis na ZFS i ZFM - razem 46%/	6,5 mln zł

2/ wynagrodzenia bezosobowe	0,7 mln zł
3/ honoraria	67,4 mln zł
4/ nagrody konkursowe	5,5 mln zł
5/ delegacje krajowe	5,6 mln zł
6/ koszty emisji	27,0 mln zł
w tym:	
- zwiększenie emisji TV o 160 godz. -	9,9 mln zł
- uruchomienie II sieci stereofo-	
nicznej UKF dla III Programu PR	-18,0 mln zł
7/ zakupy materiałów i przedmiotów nietrwałych /taśmy MW, materiały filmowe, paliwo itp./	150,2 mln zł
8/ usługi materialne, techniczne, produkcyjne i transportowe	192,7 mln zł
9/ usługi niematerialne /wynajem materiałów archiwalnych, wynajem pomieszczeń, opłaty za prawo transmisji/	166,8 mln zł
10/ zakup złotówkowy taśm magnetycznych i filmowych z importu KK /zgodnie z pkt.10 części I w załączniku 1/	
220 tys. zł x 159,0 zł/1 zł x 130%	45,5 mln zł

III. OGÓŁEM KOSZTY /poz. I + II/ 1.039,3 mln zł

=====

## Ocena pogrudniowej polityki gospodarczej rządu i perspektyw wychodzenia z kryzysu

Według danych GUS tzw. produkcja czysta przemysłu w cenach stałych była w 1982 r. o 4,5% mniejsza niż w roku poprzednim, potem zaczęła rosnąć: o 5,8% w 1983 i o 5,3% w 1984 r. Pod koniec ub. r. nastąpiło zahamowanie wzrostu, a w pierwszych miesiącach 1985 r. - spadek produkcji w stosunku do odpowiednich miesięcy poprzedniego roku. W sumie w 1984 r. produkcja przemysłu była o 14,3% niższa od poziomu przedkryzysowego z 1978 r.

Dane te należy traktować jako zawyżone. Statystyka GUS nie uwzględnia bowiem w dostatecznym stopniu: spadku jakości produkcji, marnotrawstwa, produkcji nietrafionej i bubli wciskanych odbiorcom nie mającym dość siły przebicia, by protestować i zgłaszać reklamacje. GUS nie potrafi również w pełni wyeliminować wpływu wzrostu cen na wskaźniki produkcji.

Pogłębienie się kryzysu w przemyśle w 1982 r. było bezpośrednim skutkiem wprowadzenia stanu wojennego i uderzenia w legalną "Solidarność". Został wówczas bowiem - jako wyraz protestu i dezaprobaty dla rządów dyktatury wojskowej - zatrzymany dopływ kredytów zachodnich do PRL, co wymusiło dalszy spadek importu zaopatrzeniowego z Zachodu o ok. 33%. W rezultacie w 1982 r., głównie na skutek braku surowców, wykorzystywano zaledwie 50-70% możliwości produkcyjnych przemysłu przetwórczego.

Zniszczono również szybko rozwijający się w poprzednim okresie autentyczny masowy ruch samorządowy, zaprzepaszczono szanse na wytworzenie się nowego typu przedsiębiorczości, niezbędnej do wyprowadzenia gospodarki z zastoju i marazmu. Likwidacja wielu swobód obywatelskich i zastosowanie różnych form represji stworzyły atmosferę zniechęcenia i apatii, co nie sprzyjało wydajności pracy, szczególnie

tam, gdzie konieczna była inicjatywa i osobista zaangażowanie.

Antykrzysowa polityka władz polegała przede wszystkim na związanej eksploatacji robotników i ograniczaniu konsumpcji społeczeństwa. Po wprowadzeniu stanu wojennego władza zmilitaryzowała górnictwo likwidując wywalczone w sierpniu 1980 r. wolne soboty. Powrócono do rabunkowego wydobycia stosowanego w czasach gierkowskich, nie licząc się ze zdrowiem i życiem górników. W całym przemyśle już od początku 1982 r. stosowano różna formy wydłużania czasu pracy. Wzrost liczby godzin nadliczbowych w roku 1983 wyniósł 11%, a w 1984 r. 10%, przy czym np. w przemyśle lekkim w roku 1983 - w granicach od 30% do 60%. W sytuacji szybkiego spadku płac realnych władza liczyła na przymus ekonomiczny, skłaniający do podejmowania dodatkowej pracy /także w "nadgodzinach"/.

Nie przyniosła oczekiwanych rezultatów polityka "reorientacji na Wschód" polegająca na próbach zastępowania surowców i półfabrykatów importowanych z Zachodu zaopatrzeniem z krajów RWPG oraz materiałami krajowymi. Globalnia import zaopatrzeniowy z RWPG wręcz zmniejszył się /w okresie od 1979 do 1983 r. o 4,7%/, a w zakładach, gdzie "reorientacji" dokonano, przyniosło to gwałtowne pogorszenie się jakości i trwałości towarów. Wg GUS liczba wyrobów za znakiem jakości zmniejszyła się między rokiem 1980 a 1983 o 60%.

Główny wysiłek gospodarki skierowano więc na uzyskiwanie dodatkowych dolarów pozwalających na powiększanie importu zaopatrzeniowego z Zachodu. Import ten, który był główną przyczyną poprawy w przemyśle przetwórczym, wzrósł w 1983 r. o 8-9%, a w 1984 o ponad 10%. Wzrost importu zaopatrzeniowego osiągnięto kosztem redukcji importu rolno-spożywczego i inwestycyjnego. Ułatwił go też czynnik niezależny od władz, jakim były dobra urodzaje w rolnictwie i ciarliwa postawa banków i rządów zachodnich, która nie domagały się bezwzględniego i terminowego spłacania długów.

Wzrost produkcji jest jednak stosunkowo mało przez społeczeństwo odczuwany, gdyż na rynek trafia tylko skromna część owego wzrostu a w dodatku to, co można kupić w sklepie, staje się coraz droższe i zarazem często gorsze i brzydkie. Spożycie rosło w latach 1983-84 wolniej niż produkcja przemysłu. W przemyśle nadal pozycję uprzywilejowaną zajmowała produkcja środków wytwarzania kosztem produkcji dóbr konsumpcyjnych. Rosła przede wszystkim produkcja zbrojeniowa i eksportowa. Wg Instytutu Badań Strategicznych w Londynie wydatki PRL na zbrojenia w latach 1982-83 /po wyeliminowaniu wzrostu cen/ wzrosły o 1/3. Na ten cel poszły najlepsze materiały i najstarszemu wykonane wyroby, głównie przemysłu elektromaszynowego, gdy produkcja wielu wyrobów cywilnych nadal pozostawała w głębokim kryzysie /np. w 1984 r. wyprodukowano 30% mniej lodówek, 35% mniej telewizorów, 50% mniej magnetofonów, 20% mniej samochodów osobowych niż w okresie przedkrzysowym/. Ponadto inwestycje w gałęziach wytwarzających dobra konsumpcyjne stanowiły tylko 1/10 całości inwestycji przemysłu, co ogranicza możliwości wzrostu produkcji tych dóbr w przyszłości.

Ożywianie w przemyśle nie jest oparte na trwałych fundamentach, bowiem wzrost uzyskano wykorzystując tzw. płytkie rezerwy, która szybko się wyczerpują. Wydobycia węgla dochodzi już do pułapu technologicznego, którego osiągnięcie prowadzi do nieproporcjonalnego wzrostu kosztów i dalszego wzrostu wypadkowości. Niewielkie są możliwości wzrostu zatrudnienia w przemyśle, a godzin nadliczbowych nie można zwiększać w niaskończoność. W przemyśle przetwórczym nie widać istotnych zmian jakościowych, które miały przynieść reforma. Głośno reklamowana obniżenia energochłonności i materiałochłonności nie ma jednoznacznego charakteru, w jednych gałęziach występuje spadek, przy wzroście lub stagnacji w innych. Obniżenie się energochłonności nie jest rezultatem "zadziałania" reformy - jak twierdzą władze, lecz efektem ilościowego wzrostu produkcji. Wiele urządzeń produkcyjnych /zwłaszcza pracujących w ruchu ciągłym/ zużywało stałą ilość energii

i gdy dzięki lepszemu zaopatrzeniu powiększyła się ich produkcja - spadła ilość energii przypadająca na jednostkę produkcji. Spadek materiałochłonności zaś odbył się w dużym stopniu kosztem pogorszenia jakości wyrobów.

Ograniczone są możliwości inwestycyjne gospodarki. W latach 1983-84 inwestycja były o 35-40% mniejsze niż w 1978 r. Brak środków wymusił jeszcze w latach 1980-82 wstrzymanie budowy ok. 1600 obiektów inwestycyjnych /głównie przemysłu przetwórczego/, których kończenie uznano za mało celowe. W ostatnich latach wznowiono jednak budowę części tych obiektów i to baz należytego zaprojektowania i dostosowania ich do nowych potrzeb. Prowadzi to do kontynuowania gierkowskiej struktury inwestycji, preferującej przemysł ciężki i obiekty o długim cyklu realizacji. Również nowe programy inwestycyjne niewiele odbiegają od starych zasad. Przykładem może tu być przyjęty przez rząd w 1984 r. program rozbudowy hutnictwa, w ramach którego buduje się koksownię Huty Katowica mającą dostarczać koks dla ZSRR, lub program przewidujący wysokie nakłady na inwestycje w anergatyce /a więc na obiekty o długolatnym cyklu budowy/ zamiast na modernizację urządzeń produkcyjnych przemysłu pozwalającą na szybkie zmniejszenie zużycia energii.

Zdecentralizowane inwestycje przedsiębiorstw obejmują zaledwie 20% ogólnych nakładów na inwestycje. Reszta inwestycji jest w ten czy inny sposób starowana przez państwo. Mamy więc nadal do czynienia z dominacją decyzji organów administracyjnych, potężnymi naciskami ugrupowań politycznych, regionalnych i branżowych, a także funkcjonalnych na decyzje centralne, z odgórnym mechanizmem pokrywania nadmiernych kosztów inwestycji. Decyzje inwestycyjne są więc nadal oderwane od bieżących wyników gospodarczych i przeszłych efektów inwestycji. W rezultacie władze nie panują nad procesami inwestycyjnymi, czego jednym z przejawów jest fakt, że w 1983 r. inwestycje wzrosły o 7,2%, gdy plan przewidywał 1,6%, a w 1984 r. - o ok. 10% mimo planowanego spadku.

Kryzys wymusił tak poważne obniżenie się nakładów inwestycyjnych, że po przeznaczaniu znacznych nakładów na kontynuowanie inwestycji i budowę nowych obiektów nie starcza środków na pełne odtworzenie zużywanego się majątku produkcyjnego. W latach 1981-83 nakłady inwestycyjne na maszyny i urządzenia stanowiły jedynie 80% ich bieżącego zużycia. W przemyśle postępuje więc dekapitalizacja, która najgroźniejsze rozmiary przybiera w przemyśle lekkim, a następnie mineralnym, chemicznym i elektromaszynowym. O stopniu zużycia maszyn i urządzeń świadczy wielkość umorzenia /smortyzacji/ - w 1983 r. ok. 58% całej wartości maszyn i urządzeń. Coraz większa ich część jest już całkowicie zamortyzowana a więc powinna być wymieniona /24% wartości ogólnej w 1984 r., wobec 13% w 1978 r./. Dekapitalizacja dotyka najsilniej tę część parku maszynowego, która pochodziła z importu z Zachodu. Maszyn tych, gdy się zużywają, nie można zastępować importowanymi o równie wysokim poziomie technicznym, bo nie ma na to dolarów. Często brakuje dewiz nawet na części zamienne. Postępuje więc demodernizacja aparatu wytwórczego. Widać to nie tylko w przemyśle, ale może nawet wyraźniej w transporcie, gdzie 1/4 środków trwałych pochodziła z Zachodu i gdzie np. kolej przeznaczona do kasacji więcej wagonów i lokomotyw, niż otrzymuje nowych. W przemyśle - dopóki z braku surowców istnieją niewykorzystane możliwości produkcyjne a więc względny nadmiar maszyn i urządzeń - można częściowo "przerzucić" produkcję z urządzeń bardziej wyeksploatowanych na mniej zużyte. Z czasem, gdy zmniejszy się ilość sprawnych maszyn i urządzeń i nastąpi pełne wykorzystanie możliwości produkcyjnych na niskim poziomie - dalsza dekapitalizacja da się szczególnie silnie we znaki. Ewentualne przedłużanie na siłę życia wyeksploatowanych maszyn będzie prowadziło do wzrostu materiałochłonności i anergochłonności produkcji i

dalszego spadku jej jakości, a kurczenie się ilości maszyn i urządzeń zagrażać będzie utrzymaniu poziomu produkcji.

Dekapitalizacja oznacza też, że wzrost produkcji odbywa się częściowo kosztem "przejadania przyszłości", czyli kosztem ograniczenia możliwości wzrostu w latach następnych.

Dekapitalizacja i demodernizacja, połączone z typową dla panującego typu gospodarki niechęcią do postępu technicznego - powiększają lukę technologiczną dzielącą nas od krajów wysokorozwiniętych.

O perspektywach wzrostu produkcji przemysłowej decydują przede wszystkim ograniczone możliwości dalszego wzrostu importu zaopatrzeniowego z Zachodu - nie można go będzie dalej forsować kosztem redukcji importu inwestycyjnego i rolno-spożywczego. Import inwestycyjny zwiększył się już w 1984 r., a jeśli w rolnictwie skończą się wysokie urodzaje, utrzymujące się głównie dzięki dobrym od kilku lat warunkom klimatycznym - to nie będzie można utrzymać niskiego importu rolno-spożywczego. Uzyskanie większej ilości dewiz drogą zwiększenia eksportu też ma małe szanse. Dalszy wzrost eksportu surowcowego, a zwłaszcza węgla, jest już praktycznie niemożliwy. Nie ma też nadziei na większy eksport wyrobów przemysłu przetwórczego, gdyż są one - na skutek niewprowadzenia reformy - mało konkurencyjne. W podstawowej gałęzi przetwórstwa, w przemyśle elektromaszynowym, eksport na Zachód wręcz maleje. Nie ma też co liczyć na zdobycie dewiz dzięki nowym kredytom z Zachodu, co więcej - pierwsze umowy z zachodnimi wierzycielami o przesunięcie spłat zadłużenia przewidywały, że PRL zacznie spłacać już od 1985 r.

W sumie więc szanse utrzymania tendencji wzrostu produkcji przemysłowej z lat 1983-84 wydają się być minimalne. Raczej należy się spodziewać w ciągu najbliższych lat stagnacji z mniejszymi lub większymi wahaniami, zależącymi głównie od czynników zewnętrznych.

■ ■ ■

W latach siedemdziesiątych zaciągnięto za Zachodzia kredyty na łączną sumę ok. 40 mld dolarów, z czego udało się spłacić zaledwie ok. 1/4. Nieefektywna wykorzystanie ogromnych pożyczek doprowadziło gospodarkę PRL do sytuacji tzw pułapki zadłużenia. Polega ona na tym, że dług rośnie szybciej niż możliwości jego spłaty. Okazało się, że zwiększanie eksportu do krajów zachodnich wymaga jeszcze szybszego wzrostu importu zaopatrzeniowego z Zachodu, na który z kolei zaczęto brakować dewiz, bo eksport był wciąż za mały. Powstawało więc błędne koło, które ujawniło się szczególnie jaskrawo w latach 1980-81. Aby wyjść z błędnego koła, władze coraz bardziej ograniczały import na wszystkie cele poza produkcją eksportową. W roku 1981 rząd PRL po raz pierwszy zmuszony był prosić wierzycieli o przesunięcie spłat. Po wprowadzeniu stanu wojennego, gdy ostatecznie zahamowany został dopływ nowych kredytów, nad Polską zawisło widmo niewypłacalności. Dla zdobycia dolarów za wszelką cenę forsowano w latach 1982-84 wzrost eksportu. Zwiększono eksport paliw i surowców, przede wszystkim węgla kamiennego /ponad 43 mln ton w roku 1984, co jest rekordem czterdziestolecia/, a także, choć w mniejszym stopniu, miedzi i siarki. Nie zrealizowano natomiast planów wzrostu eksportu przemysłu przetwórczego.

Ograniczając import konsumpcyjny i inwestycyjny, i eksportując wszystko, co tylko można na Zachodzia sprzedać, władzom udało się w latach 1982-84 uzyskać dodatnie saldo w handlu z Zachodem w wys. ok. 1,5 mld dolarów rocznie. Eksport ma jednak w dużej mierze charakter rabunkowy i wyjaławia gospodarkę kraju. Polskie towary sprzedaje się często po cenach znacznie niższych od światowych. Nieopłacalne jest forsowanie eksportu węgla - każda dodatkowa tona sprzedana na Zachodzie przynosi straty, gdyż uruchamia się pokłady i kopalnie o coraz wyższych kosztach wydobycia. Podobnie nieopłacalne jest forsowanie

eksportu cukru. Ze sprzedaży niektórych towarów uzyskujemy mniej dolarów niż wartość samej energii zużytej do ich wyprodukowania - tak jest np. w przypadku stali z Huty Katowice.

Jadnocześnie struktura eksportu na Zachód zmienia się od 1982 r. w kierunku typowym dla słabo rozwiniętych krajów surowcowych, następujące więc swoiste uwstacnienie. Np. w 1980 r. eksport przemysłu elaktromaszynowego dawał 24% przychodów wolnodewizowych, a w 1984 r. już tylko 20%, natomiast eksport paliw i rolno-spożywczy w 1980 r. - 33% wpływów, taraz w 1984 r. - 42%.

Jako pewien sukces potraktować można stosunkowo dobra ułożenie stosunków z zachodnimi wierzycielami PRL. Mimo, iż PRL nie była i nie jest w stanie wywiązać się ze spłacania długów i procentów - nie doszło do ogłoszenia niewypłacalności PRL /popularnie okraślanego jako bankructwo/. Stało się tak w dużej mierze dzięki temu, że bankructwo PRL mogłoby wywołać lawinę bankructw innych krajów zadłużonych dużo bardziej niż PRL, co byłoby groźne nawet dla stabilizacji stosunków politycznych w skali światowej.

Tzw. sankcje polegające na zerwaniu kontaktów z rządami polskim stały się w rzeczywistości pomocą dla PRL, gdyż oznaczały nieprowadzenie rozmów na temat warunków zwrotu długów gwarantowanych przez rządy zachodnia, a tym samym PRL w ogóle długów tych nie spłaca. Od niespłacanych sum rządy zachodnie naliczają jednak dodatkowa odsetki. Ostatnio PRL parafowała /choć jeszcze nie podpisała/ porozumienie o przesunięciu spłat tego zadłużenia przypadających na lata 1982-84, rząd polski ma także nadzieję na uzyskanie w zamian dodatkowych gwarantowanych kredytów.

Dużą wyrozumiałość okazywały również banki zachodnie. W latach 1982 i 1983 godziły się co roku na przesuwania spłat kapitałów na odległe terminy, żądając jedynie spłacenia procentów, przy czym udzielały na ten cel kredyty w wysokości ok. połowy wartości odsetek. Podobnie postąpiły banki w kolejnym porozumieniu o przesunięciu spłat z lat 1984-87 na 10-letni okres.

Rząd PRL wiąże też pewne nadzieje z możliwością przystąpienia do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, co może przynieść w niedługim czasie dodatkowe kredyty szacowana na ok. 2-3 mld. dolarów.

Polityka rządu w sprawie zadłużenia polega jednak przede wszystkim na przesuwaniu problemu rosnącego długu na przyszłość. Miałoby to pewian sens tylko wtedy, gdyby władze potrafiły zwiększyć zdolność płatniczą PRL. Na to się jednak nie zanoszi. Możliwość dalszego wzrostu eksportu w najbliższych kilku latach wydaje się być niewielka lub żadna. Dalszy wzrost eksportu paliw i surowców, zwłaszcza węgla, jest praktycznie niemożliwy. Wydaje się, że nawet utrzymanie obecnego poziomu jest mało realna, bo potrzeby energetyczne krsju będą rosły. Co gorsza, bilans handlowy energii /jej nośników/ jest stale ujemny i tendencja ta będzie się prawdopodobnie utrzymywać. Cały ciężar wzrostu eksportu spoczywać musiałby na przemyśle przetwórczym, zwłaszcza elaktromaszynowym. Wymagałoby to jednak wzrostu konkurencyjności jego wyrobów, a zwłaszcza ich jakości i atrakcyjności. A więc zmian organizacyjnych - a te mogłaby przynieść tylko głęboka reforma. W tym światła unikanie zdecydowanych zmian mechanizmu funkcjonowania gospodarki dowodzi braku troaki o rozwiązanie groźnych problemów przyszłości gospodarki i kraju.

Być może władze spróbują jaszczce jednego wariantu polityki eksportowej, mianowicie forsowanie eksportu rolno-spożywczego. Wymagałoby to zwiększania produkcji rolnej przy jednoczesnym utrzymaniu na wiele lat niskiego spożycia w kraju /szczagólnie mięsa/. Takia rozwiązanie byłoby cofnięciem struktury naszego eksportu do lat sześćdziesiątych: Polska znowu słynełaby w świecie tylko szynką, wódką i węglem.

O niewielkich perspektywach Polski w tej kluczowej dla jej rozwoju



ju dziedzinie świadczy udział naszego eksportu w eksporcie światowym. Zarówno w 1970, jak i 1978 r. wynosił on 1,1%, a w latach 1982-83 już tylko ok. 0,6%. Jest to mniej niż w XIX wieku w Królestwie Polskim, którego udział w światowych obrotach handlowych wyniósł 1,3%.

■ ■ ■

Skutki kryzysu łagodziła w latach 1982-84 dobra pogoda dla rolnictwa i wzmocniony wysiłek produkcyjny prywatnego chłopca, dzięki czemu był to okres dobrych urodzajów.

Rolnictwo głęboki kryzys przeżywało w latach 1979-80, gdy zmniejszyły się zbiory zbóż /do 17-18 mln ton/ oraz ziemniaków i buraków. Początkowo pogłowie trzody chlewnej utrzymywało się jeszcze na wysokim poziomie dzięki coraz większemu importowi pasz. Złe zbiory powodowały jednak wzrost wolnorynkowych cen zbóż i pasz /dwukrotny w latach 1980-81/, przez co hodowla stała się nieopłacalna. W 1982 r. na skutek polityki ograniczania importu, dostawy pasz przemysłowych były o połowę niższa niż w 1980 r. Podkopało to hodowlę. Podniesienie cen skupu żywca nie stworzyło zachęty do hodowli, bo za uzyskane pieniądze chłop i tak nie miał co kupić. W latach 1981-82 skup żywca zmniejszył się o 1/4. Tymczasem polityka cenowa państwa czyniła produkcję roślinną opłacalniejszą niż zwierzęcą. W rezultacie, w latach 1983 i 1984 skup żywca wieprzowego osiągnął poziom minimalny, tj. ok. 30% niższy niż w roku 1980.

Z pomocą przyszła pogoda. Już od 1981 r. plony i zbiory zbóż stale rosły, przekraczając w 1982 r. średnią z lat 70-tych. Rok 1984 był najlepszy w całym 40-leciu PRL, zbiory zbóż wyniosły 24 mln ton, o 6 mln ton więcej niż w 1980 r. Kolejne trzy kampanie cukrownicze 1982-84 dały rekordową produkcję cukru, doskonale były /w 1984 r./ zbiory rzepaku, rosły też zbiory ziemniaków.

Dzięki wysokim urodzajom, które poprawiły sytuację paszową, udało się zahamować spadkową tendencję w hodowli trzody - na początku 1985 r. skup żywca wzrósł. Kryzys mięsny łagodziła też stosunkowo lepsza sytuacja w hodowli bydła: w latach 1981-83 załamanie było tu dużo słabsze, niż w hodowli trzody, a od połowy 1982 r. skup bydła zaczął się zwiększać.

Wzrost produkcji rolnej został osiągnięty mimo spadku nakładów. Nawożenie mineralne na 1 ha w latach 1982-84 było przeciętnie ok. 1/10 mniejsze, a inwestycje rolne o 23% mniejsze niż w roku 1980. Spadek inwestowania dotknął zwłaszcza melioracje i zaopatrzenie wsi w wodę. Już od połowy lat 70-tych powierzchnia gruntów wymagających melioracji nie zmniejsza się, a stare urządzenia melioracyjna ulegają dewastacji.

Na warunki rolne wpływa wzrost ścieków przemysłowych i komunalnych /o 10% od 1980 r./, pogarszający stan wód powierzchniowych. Wzrósł wprawdzie stopień mechanizacji w rolnictwie /w 1980 jeden ciągnik przypadał na 30 ha użytków, a w 1984 na ok. 23 ha/, ale nadal różnica w wyposażeniu gospodarki uspołecznionej i chłopskiej jest duża na korzyść pierwszej, przy czym produkowane w kraju maszyny i urządzenia rolnicze są niedostosowane do potrzeb typowej w Polsce gospodarci małoobszarowej.

Przy niewielkich środkach inwestycyjnych szczególnie ważne jest kierowanie ich tam, gdzie będą najlepiej wykorzystane. A więc pozytywnie należał ocenić fakt, że w latach 1980-84 nakłady inwestycyjne w gospodarce chłopskiej wzrosły o 15%, a w uspołecznionej zmalały o 50%. To przesunięcie strukturalne jest jednak niedostateczne. Sektor chłopski otrzymał w 1982-83 /na złotówkę posiadanych środków trwałych/ 2,4 razy mniej środków inwestycyjnych niż uspołeczniony, choć daje z każdej złotówki środków trwałych 2,6 razy większą produkcję czystą. Do pozytywnych przemian strukturalnych i wzrostu nakładów w

rolnictwie przyczynić by się mogła utworzona z inicjatywy Kościoła Fundacja Rolna, gdyby jej rozwój nie był sabotowany i zahamowany przez władze.

Fakt, że o poprawie sytuacji w rolnictwie zdecydował tak zmienny czynnik jak pogoda, nie stwarza trwałych podstaw rozwoju jego produkcji. Ewentualna pogorszenie się warunków klimatycznych może znów silnie odbić się na rolnictwie.

■ ■ ■

Zawsze w okresie kryzysowym władze zmniejszają ograniczenia narzucone na pozarolniczy sektor prywatny. Tak jest i teraz. Dzięki temu jest to sektor, który nie tylko nie przeżywa kryzysu, lecz wykazuje wysoką dynamikę wzrostu. W latach 1982-84 rosła w tempie ok. 10-12% rocznie zarówno liczba prywatnych placówek gospodarczych, jak i zatrudnienie. Produkcja przemysłu prywatnego powiększyła się w tym czasie o 32% a inwestycja o 42%. Jest to zjawisko pozytywne, gdyż sektor prywatny jest najefektywniejszy, najlepiej adaptuje się do warunków kryzysu i niedoborów oraz zwiększa produkcję na rynek konsumpcyjny. Ale sektor ten wciąż jest jaszczce jedynie małym marginesem w całej gospodarce. Można jednak mieć nadzieję, że dopóki będzie trwał kryzys i stagnacja, jego warunki rozwoju nie ulegną pogorszeniu.

■ ■ ■

Mało skuteczna jest antyinflacyjna polityka władz. Do gospodarki pompowany jest pieniądź bez pokrycie, który powstaje z wynagrodzeń za pracę nie dostarczającą towarów ani usług na rynek. Dotyczy to płac za prace przy kontynuowaniu wielkich inwestycji z lat 70-tych, przy produkcji na eksport, którym spłacamy długi, produkcji zbrojeniowej i dochodów finansowanych z deficytu budżetowego państwa, w tym wciąż rosnących dochodów służby bezpieczeństwa, wojska i milicji. Tych przyczyn inflacji władze nie usuwają, koncentrując swe antyinflacyjną poczynania na polityce cen.

Na początku 1982 r., pod osłoną stanu wojennego, podniesiono przeszło dwukrotnie przeciętna ceny towarów i usług konsumpcyjnych przy połowę mniejszym wzroście płac nominalnych. Mimo tak brutalnej operacji cenowej, w końcu 1982 roku przyrost zasobów pieniężnych ludności wyniósł ok. 400 mld zł i był o przeszło 100 mld zł większy niż w roku 1981. Tzw. nawisu inflacyjnego nie zlikwidowano. Wrost zasobów pieniężnych ludności w latach 1983-84 był już mniejszy, lecz nadal utrzymywał się w granicach 280-300 mld zł rocznie. Podejmowane przez władze próby doprowadzenia do sytuacji, w której wydatki ludności będą rosły szybciej niż dochody przynoszą niewielkie rezultaty, gdyż władze w małym stopniu wpływają na nierównowagę rynkową drogą wzrostu podaży dóbr konsumpcyjnych.

Ponieważ władze nie rozwiązują problemu głównych źródeł inflacji, należy liczyć się z tym, że w ciągu najbliższych lat będzie się ona utrzymywać i prawdopodobnie nie uda się obniżyć wzrostu cen poniżej 10% rocznie.

■ ■ ■

W dźwignaniu się z kryzysu nasz kraj musi liczyć przede wszystkim na własną siłę. Niezbędna jest poprawa efektywności gospodarowania, zwiększenia rentowności produkcji i konkurencyjności naszych wyrobów. Konieczna jest uruchomienie wszystkich rezerw produkcyjnych. A więc potrzebna jest głęboka, kompleksowa reforma, wprowadzająca rynkowe mechanizmy funkcjonowania gospodarki. Ocenie i wdrażaniu reformy poświęcony będzie odrębny tekst związkowy. Tu pragniemy jedynie potwierdzić opinie, wypowiediane nawet na łamach oficjalnej prasy, o niewielkich osiągnięciach w reformowaniu gospodarki i o zatrzymaniu procesu reformy w 1985 r. Podkreślić należy, że daleko jaszczce do

zrealizowania nawet rządowego projektu reformy z 1981 r., który /mimo niakonsekwencji i niedopowiedzeń w założeniach/, gdyby wszedł w życie, uczyniłby naszą gospodarkę najliberalniejszą w RWPG.

Dokonania władz trudno nazwać reformą, można mówić tylko o pewnych zmianach w gospodarce. Przede wszystkim zarwano wreszcie z 40-letnią praktyką socjalistycznego planowania nakazowego. Plan centralny już nie obowiązuje przedsiębiorstw, a władze nie mają prawa go narzucać. Jednak w większości przypadków nakazy formalne zastąpiono nierformalnymi. Dało to tylko nieco zwiększoną swobodę działania przedsiębiorstw. System jest mniej nakazowo-rozdzielczym, a bardziej uznaniowo-przetargowym, z nieco uproszczoną procedurą przetargu w porównaniu z tą, która odbywała się w ramach osławionego "czófenka" planistycznego. Nie znaczy to jednak, że jest racjonalniejszy, gdyż nadal decyduje nie efektywność, lecz zdolność przetargu i nacisku.

W wielu dziedzinach nie nastąpiły żadne zmiany: w górnictwie, hutnictwie, handlu wewnętrznym i zagranicznym, transporcie, łączności i budownictwie. W pozostałych dziedzinach ciągle rozszerza się rozdzielnictwo surowców i materiałów. Rządowe zamówienia stanowią zamkniętą formę nakazów, określających asortyment produkcji i odbiorców. Narzucane ceny urzędowe w 1983 r. objęły 45% obrotów na rynku datalicznym, 32% na zaopatrzeniowym i aż 72% na rolnym, wskutek czego rentowność przedsiębiorstw nie zależy od gospodarności, lecz od otrzymanej "z góry" ceny. W dalszym ciągu przedsiębiorstwa są bardziej zainteresowane prowadzeniem przetargu z władzami zwierzchnimi o bardziej korzystne warunki niż podnoszeniem efektywności gospodarowania. Do tego dochodzi nadal utrzymujące się tzw. "miękkie finansowanie" przedsiębiorstw, czyli gwarantowanie im środków finansowych bez względu na osiągnięte efekty gospodarcze. Nie dopuszcza się do bankructwa, a z drugiej strony zabiera się tzw. "nadmiar" środków. Wszystko to jest sprzeczne z zasadą samofinansowania. W rezultacie w przedsiębiorstwach dominuje postawa wyczekująca /na powrót starego systemu/, dozowana wysiłku i unikania ryzyka.

Niereformowane zostało tzw. centrum planistyczne. Komisja Planowania, mimo nowej ustawy, nadal oprócz planowania zajmują się zarządzaniem. Zmniejszwszy w 1981 r. liczbę ministerstw gałęziowych, zrezygnowała z uprawnień, władze zapowiadają, że w tej dziedzinie nie będą wprowadzać dalszych zmian. Według starych zasad funkcjonuje system bankowy. Nie ma też ustawodawstwa antymonopolistycznego.

Wprowadzone zmiany mają więc charakter fragmentaryczny. Gospodarka stanowi jednak całościowy organizm i rozwiązania połowiczne, a przy tym często wewnątrznie sprzeczne, nie mogą przynieść zadowalających rezultatów. Zamiast regulowanego przez państwo mechanizmu rynkowego otrzymaliśmy przypadkową hybrydę - mieszaninę tradycyjnego systemu nakazowo-rozdzielczego z pawnymi rozwiązaniami rynkowymi, quasi-rynkowymi, mnóstwem rozmaitych "regulatorów" i "parametrów". System taki nie może być na dłuższą metę sprawny, szczególnie jeśli jest sprzężony z nieudolną, proinflacyjną polityką gospodarczą, kreującą nadmierny popyt w gospodarce. Może wystarczać do zahamowania regresu produkcji, ale nie jest w stanie uruchomić trwałego wzrostu, a tym bardziej spowodować istotnych zmian w charakterze jakościowym.

■ ■ ■

Po wprowadzeniu stanu wojennego nastąpił spadek stopy życiowej bez precedensu w powojennej historii kraju. Przeciętne dochody realne ludności na skutek podwyżki cen w roku 1982 obniżyły się o ponad 20%, po czym w latach 1983-84 utrzymywały się na kryzysowym poziomie z roku 1982. W 1984 r. płaca realna była niższa niż w 1980 r. o 20%. W mniejszym stopniu spadła realna wartość świadczeń społecznych na skutek rozszerzenia ich zakresu jeszcze w latach 1980-81, częściowo zaś z uwagi na rekompensaty przyznane do świadczeń społecznych, osłabiające skutki podwyżki cen. Po roku 1982 zaczęto jednak lansować te-

zę o potrzebie rezygnacji z opiekuńczej roli państwa i ograniczać zakres świadczeń. W rezultacie w latach 1983-84 zmniejszyła się realna wartość zasiłków rodzinnych, wychowawczych i wielu innych świadczeń. Pogłębiła się też rozpiętość między przeciętną emeryturą i rentą a przeciętną płacą. W rezultacie, choć przeciętne dochody w latach 1983-84 utrzymały się na niezmiennym kryzysowym poziomie, to spadkiem dotknięta została połowa ludności kraju, która miała dochody niższe od "przeciętnej". Realizowano więc jaskrawo niesprawdliwą politykę dochodów. W jej wyniku ubożsi zubożeli jeszcze bardziej, poprawiła się sytuacja zamożniejszych. Wzrosła liczba osób żyjących w strefie dochodów niskich /w rodzinach pracowniczych z 16% w 1980 r. do 30% w 1984 r., a w emeryckich z 30% do ponad 40%/. Główną przyczyną narastających różnicowań sytuacji dochodowej jest inflacyjny wzrost kosztów utrzymania przy braku dodatków drożyźnianych, które gwarantowałyby automatyczny wzrost świadczeń społecznych i płac odpowiednio do wzrostu cen podstawowych dóbr konsumpcyjnych. Ruch płac i rekompensat ma charakter żywiłowy, wygrywają ci, którzy mają większą siłę przetargową, przy czym narastające zróżnicowanie nie ma żadnego ekonomicznego uzasadnienia.

Spóżyte spadło nieco mniej niż dochody. Wynikało to m.in. z różnych działań przystosowawczych podejmowanych w gospodarstwach domowych /wzrost udziału spożycia naturalnego, wzrost roli oszczędności i pomocy z zagranicy/. Największy spadek nastąpił w 1982 r. /o 15%/, a w latach 1983-84 osiągnięty został pewien nieznaczny i słabo odczuwalny społecznie wzrost spożycia.

Najsilniej odczuwany przez społeczeństwo jest spadek spożycia żywności. Jest on wynikiem spadku podaży, zwłaszcza mięsa i innych artykułów będących źródłem białka. Udział wydatków na żywność w całości wydatków gospodarstw domowych - traktowany jako miara zubożenia społeczeństwa, wzrósł z 35% w 1980 r. do ponad 50% w 1984 r. W wielu ubogich rodzinach na zaspokojenie podstawowych potrzeb idą prawie cała dochody. W szczególności trudnej sytuacji są te rodziny, które nie nagromadziły zasobów dóbr trwałego użytku w latach 70-tych oraz te, których zasoby zostały już w znacznym stopniu zużyte.

Czynnikami silnie różnicującym sytuację poszczególnych rodzin jest także - niejednokrotnie dla wszystkich dostępność towarów. Coraz większą rolę odgrywają różne mniej lub bardziej formalne systemy reglamentacji: sprzedaż przez zakłady pracy, talony, asygnaty i przydziały. Możliwości zakupu zróżnicowane są w zależności od miejsca pracy, zamieszkania, stanowiska, pozycji czy "układów". W 1983 r. na asygnaty sprzedano 40% rynkowych dostaw samochodów. Jak podała prasa, przedsiębiorstwo "Domar" przeznaczca na rynek tylko połowę dostaw artykułów elektrycznych gospodarstwa domowego, sprzętu audiowizualnego itd. podczas gdy prawie cała reszta dostaw rozdzielana jest, na podstawie "decyzji o sprzedaży danego artykułu konkretnej osobie". Nie ma powodów by przypuszczać, że "Domar" jest pod tym względem wyjątkiem. Wszystko to oznacza powrót do systemu dystrybucji opartego na przywilejach i wykorzystywanego jako narzędzie sprawowania władzy, systemu, który obowiązywał w latach 70-tych i spotkał się z ostrym sprzeciwem społecznym w latach 1980-81.

Jeśli chodzi o inne czynniki określające poziom życia - to jedynie pozytywem są wprowadzone w 1981 r. wolne soboty. Tam, gdzie się jaszce utrzymały, w pewnym stopniu amortyzują materialne skutki kryzysu, dają więcej czasu na zakupy, na prace w gospodarstwie domowym zastępujące zakupy na rynku /praca na działce, przetwory domowe, urządzenie i wyposażenie mieszkania itp./. We wszystkich innych dziedzinach nastąpił regres - niekiedy wręcz dramatyczny. Pogorszyły się warunki pracy /wzrost liczby wypadków/, wzrosła zachorowalność na wiele chorób. Kryzys w budownictwie mieszkaniowym oznacza tragedię życiową dla paru milionów rodzin.

Coraz groźniejsza staje się sytuacja w sferze infrastruktury społecznej: służbie zdrowia, szkolnictwie, gospodarce komunalnej, ochronie środowiska. Obniżanie jakości usług i towarów zwiększa zacofanie technologiczne i cywilizacyjne kraju, także w sferze spożycia. Pod wieloma względami Polska plasuje się obacnie na jednym z ostatnich miejsc w Europie.

■ ■ ■

Utrzymanie poziomu życia na kryzysowym poziomie jest kosztem, jaki społeczeństwo ponosi za błędną politykę gospodarczą władz. Jest to wyrzeczenia, które jednak nie przynosi żadnych efektów. Władze nie wprowadzają bowiem ani przemian strukturalnych w gospodarca ani efektywnościowej reformy.

Generalnia całą politykę gospodarczą władz ocenić trzeba jako krótkowzroczną, nastawioną na doraźne krótkofalowe cele, odsuwającą rozwiązywanie istotnych problemów gospodarczych i społeczno-politycznych na nieokreśloną przyszłość, co nie tylko nie stwarza perspektyw rozwojowych, ale grozi nagromadzeniem problemów prowadzącym do kolejnego krachu.

Powyższy tekst opracowany został przez ekspertów ekonomicznych Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ "Solidarność"

Zbigniew Bujak

## OŚWIADCZENIE

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza upoważnia się wszystkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego książek, pod zasadniczym warunkiem nie dokonywania żadnych skrótów, adiustacji, ani też opatrywania ich wstępami, komentarzami itp. Właściwym miejscem dla krytyki literackiej i politycznej są łamy czasopism.

Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza zabrania się natomiast jakichkolwiek przedruków, nawet bez skrótów i zmian, wydawnictwom legalnym, jednoznacznie rażymowym, czy tylko koncesjonowanym, ale zależnym od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że w ramach taktycznej "liberalizacji", ale także uprawianej za wzorem Kramla polityki likwidowania politycznych niech pośmiartnie! - emigrantów przez drukowanie ich "wybranych" utworów /w Sowietach np. rozpoczęto już druk Bunina/, ktoś w najlepszej intencji i w przekonaniu, że coś tam dla kultury polskią ocala, postarałby się o wydanie w jakimś "kamaralnym" wydawnictwie niepolitycznego "Karierowicza" czy kilku niepolitycznych nowel. A nawet, być może, politycznej "Kontry".

Józef Mackiewicz był człowiekiem skromnym. Józef Mackiewicz był w poglądach bezkompromisowy. Uważał, że jedyne godne miejsce dla emigranta politycznego w kraju rządzonym przez wroga jest więzienie. Co go, na szczęście, ominęło.

Z prośbą o przedrukowanie we wszystkich pismach amigracyjnych i nielegalnych w PRL

Barbara TOPORSKA-MACKIEWICZ

/Za: "Kultura" Nr 3/450, Paryż, marzec 1985/

# KONTRMARSZ

Włodzimierzowi Majakowskiemu

Hej ty z wystającymi muakulę  
Z ospowatą gębą,  
Gdzie idziesz?  
Zagradzam drogę!  
Straciłeś tempo,  
Zmień nogę.  
Kto wciąż w lewo skręca,  
Kręci się w kółko.  
Gdzie wieszysz, rycarzu gorący,  
Krasnoarmiejców pułki?  
Choćbyś najbardziej miarowo  
Nogą wybijał takt,  
Świata nie podbijesz,  
Świat nie jest piłką footballową,  
Świat się podbija głową! głową! głową!  
Fakt.

Ej, bestio naga!  
Zagnij kolana.  
Widzisz, jak z wiatru tchem  
Igra angielska flaga?  
Nie sięgniesz jej, nie chwycisz,  
Wysoko nade mną rozwiana  
Chora gwiazda brytyjskim lwem:  
I am British.  
Przez morze zła  
Na łód, który widać z daleka,  
Jack London  
Lotne przerzuca pontony:  
"Prawo białego człowieka!"  
Nie wytrzymasz spojrzenia,  
Gdy Kipling krzyknie: "Stój!"  
Za mną jest całe plemię,  
Goethe jest mój!

Jak pieśń urwany z powrozu,  
Swobodą zachłyśnięty,  
Wywalasz ozór.  
Za mało jasz ryczeć z talentam:  
Trzeba mieć rozum.  
Spiszowy posąg wolności  
Mądrymi się kuje młotami:  
Ludzie wyrzeźbi oblicza ludzkości dynamit.  
Dorwałeś się większej płacy,  
Dźwignąłeś się ciężko, mozolnie.  
A czy wiesz?  
Są tacy,  
Co byli zawsze wolni!

Moja armia nie idzie na prawo,  
Ani nie idzie na lewo,  
Ale, jak dym i lewa,  
Tryska do nieba.  
My jęstaśmy złączeni

Nie cesarską purpurą,  
Nie sowieckim sztandarem,  
Ale chłodnym bezmiarem  
Przestrzeni.  
Góraż! Góraż! Góraż!

Okulbaczyć rumaki stalowe,  
Na siódła skoczmy w lot!  
W tył zwrot!  
Gotowe? Gotowe!  
W pochód! Ty przodem pójdziesz, Słowo!  
Lewą czy prwą, wszystko jedno którą.  
Góraż! Góraż! Góraż!

ANTONI SŁONIMSKI

Skamander, nr XVI r. 1922:

## DOKUMENTY REPRESJI

### WYKAZ REPRESJONOWANYCH PRACOWNIKÓW HiL(cd)

#### ZAKŁAD KOKSOWNI HiL /K - 3/

1. SIATKA Adam - opałowy baterii, długoletni pracownik, żonaty, 2 dzieci, zam. os.Dywidjonu 303 64/48. Trzy razy rewizje w mieszkaniu i piwnicy, internowany ponad 2 miesiące w Uhercach w 1982 r. Członek Komisji Wydziałowej NSZZ "Solidarność". Zwolniony z pracy w maju 1983 r. Trzy wazwania do komendy WUSW, gdzie był przesłuchiwany. Trzy miesiąca internowanie wojskowego w Czerwonym Borze.
2. LISZKA Edward - opałowy baterii, żonaty, 1 dziecko, zam. Kraków, os.Kolárowa 9/35. Wezwania i przasłuchania w komandzie na os.Zgody i na Mogiłskiej po zarzucie kolportażu ulotek i przyneleżności do SFPP.
3. BOLANOWSKI Adam - ślusarz, żonaty, 1 dziecko, zam. Kraków, os Kali-nowa 7/79. Zabraný z pracy, zatrzymany na 48 godzin, rewizje w domu, zsbreno różne rzeczy /ko-party, preporca/, trzy razy przesłuchiwany na Mogiłskiej.
4. SPRUTTA Czesław - opałowy baterii, żonaty, 2 dzieci, zam. os.Kolárowe 8/50. Rewizje, przesłuchania i wezwania do WUSW.
5. WASELYSZYN Henryk - opałowy baterii, żonaty, 2 dzieci, zam. Kraków, ul.Zwiarzyniacka 8/4. Wazwany na Mogiłską, rewizje w mieszkaniu, zatrzymany na 48 godz. Nadzór za pracy przez 2 miesiąca.
6. MICHALSKI Edward - ubijacz węglowy, żonaty, 2 dzieci, zam. os.Nie-podległości 6/47. Przesłuchania na Zgody oraz 2 rewizje /kolportaż, SFPP/.
7. DANIEL Wojciech - opałowy baterii, żonaty, 2 dzieci, zam.os.Pia-atów 30/35. Założyciel NSZZ "S" na wydziale, 3 miesiąca WOS "Czerwony Bór. Przesłuchiwany w Czerwonym Borze przez kontrwywiad, 3 przesłuchania na Mogiłskiej, rewizje, próba włamania do mieszkania przez SB.

8. KOZŁOWSKI Bolasław - mistrz produkcji, żonaty, 2 dzieci, zam. os. Piaatów 24/15. Wezwania i przesłuchania /4/, rewizje w domu, zakaz poruszania się samochodem prywatnym przez okres 1 miesiąca. W pracy nadzór przez kierownictwo i sekretarza POP do chwili obecnej.
9. RUSIN Czesław - tokarz-frezer, żonaty, 3 dzieci, zam.os. Kalinowe 16/15, długoletni pracownik, członek Komisji Zskładowaj NSZZ "S". Przesłuchania, rewizje w domu, kolegium 200 zł za przynależność do funduszu.
10. NOWICKI Edwerd - ur. 1929, brygadziста suwnicowy, bardzo długoletni pracownik HiL, żonaty, 3 dzieci, zam. os.Wandy. Zabraný z domu po rewizji na przesłuchania na Zgody. Zabrano z domu 347 pozycji różnych materiałów. Nie zwrócono 54 pozycji, która są w dyspozycji prokuratury wojewódzkiej /książki, broszury wydane poza canzurą/. Oczakuje na proces.
11. ŁACIAK Stefan - ślusarz, 8 lat pracy w HiL, żonaty, 2 dzieci, zam. Kraków, os. Jagiellońskie 30/50. Trzy przesłuchania na Zgody, rewizja w mieszkaniu, klegium 2600 zł zs przynależność do funduszu.
12. MATUŁA Ryszard - mistrz ślusarzy na dniówce, żonaty, 3 dzieci, 20 lat pracy w HiL, członek Kom.Zakł. NSZZ"S" oraz Komitatu Strajkowego. zam. Kraków, os. Niepodległości 61/96. Trzy przesłuchania na Zgody, dwie rewizje mieszkania, kolegium 2600 zł za przynależność do funduszu, na czas niaokreślony zskaz o-puszczania miasta, stały nadzór przez dzielnicowego funkcjonariusza MO.
13. MARKIEWICZ Witold - mistrz produkcji, 6 lat pracy, żonaty, 1 dziecko, zam. Kraków, ul.Polałki 16/22. Rewizja w mieszkaniu, zdjęty ze stanowiska kierownika bloku na kierownika zmiany, a następnie zdegradowany do mistrza zmianowego. Przyczyny - poglądy idao-logiczne, nieprzynależność do PZPR oraz do związku, szykanowany w pracy z błahych powodów, częsta potrącenia premii.
14. TONDYRA Czesław - opałowy baterii, długoletni pracownik, żonaty, zam. os.Jagiellońska 24/65. Zabraný z domu po rewizji i osadzony na Montalupich przez 160 dni pod zarzutem: udział w manifestacji i czynny udział w napadzie na IV komisariat MO na os. Złota Jesień. W sumie po wyjściu jeszcze 6 rozpraw sądowych z wolnej stopy. Zwolniony z aresztu na mocy amnestii. Zwolniony z pracy, przyjąty ponownie na nowych warunkach, przez co utracił staż pracy, straty finansowe w postaci utraty Karty Hutnika, 14-tej pensji, 13-taj pensji, urlopu i innych dodatków. Nadzór w pracy przez 3 miesiące. Ponowna wezwania i przesłuchanie na Zgody.

ZD /dawny GŁÓWNY KONSTRUKTOR HiL/

1. MARCINKOWSKI Jerzy - inż chemik, żonaty, 2 dzieci, staż 7 lat, 2 razy przesłuchiwany, 1 raz zatrzymany na 48 godz.
2. POCZTOWSKI Józef - inż. bud. żonaty, 2 dzieci, staż 10 lat, zam. os. 2-go Pułku Lotniczego 13/141. Zatrzymany na 48 godz. i przesłuchiwany.
3. SZETERLAK Danuta - ekonomista, mężatka, 2 dzieci, staż 10 lat, zagrożona grzywną za pomoc demonstrantowi. Zam. os. Dąbrowszczaków 11/34



W - 21 /popularna setka - REMONTY ELEKTRYCZNE/

1. KUC Jerzy - Przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ "S", członek KRH, żonaty, 2 dzieci, internowany od 13.12.1981 r., pracował na W-21 od 1973 do 1983 roku.
2. JARZĄB Krzysztof - żonaty, bezdzietny, zwolniony w lutym 1982 r. za uruchomienie sygnalizacji alarmowej na wydziale w dniu 13.02.1982 r.

W - 29 /WYDZIAŁ WODNY/

1. MAZUR Stanisław - członek Komisji Zakładowej NSZZ "S", żonaty, 2 dzieci, zatrzymany na 48 godz. 16.12.81 /po strajku/. Zam. N.Huta, os.Górali
2. WIATEREK Eugeniusz - członek Komisji Zakładowej NSZZ "S", żonaty, 2 dzieci, zam. N.Huta, os.Handlowe 3/1. Zatrzymany na 48 godz. 16.12.81 /po strajku/.
3. NOWAK Józef - członek Komisji Zakładowej NSZZ "S", żonaty, 2 dzieci, zam. N.Huta, os.Górali 2/6. Zatrzymany na 48 godz. po strajku 16.12.81.
4. POMPA Franciszek - żonaty, 3 dzieci, zam. N.Huta, os.Willowe. Zatrzymany na 48 godz. po manifestacji 31.08.83. Internowany w Czerwonym Borze, kolegium 12 tys.zł.
5. KONWA Henryk - przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ "S", żonaty, 1 dziecko, zam. N.Huta, os. Krakowiaków 29/25. Zatrzymany na 48 godz. 16.12.81 /po strajku/, 30.09.82 i 15.12.83 r. Przesłuchiwany 3.05.83 r.

PAWLIK Zofia - nauczycielka, działaszka NSZZ "S", członek MKZ, członek Komisji do opracowania Karty Nauczyciela, zam. Kraków, ul. Sarbska 4/1. Ukarana kolegium 18 tys. zł za 31.08.82 r., zatrzymana na 72 godz., pozbawiona prawa wykonywania zawodu na 3,5 miesiąca. Zs poprawianie wraz z córką rozrzuconych przez SB kwistów na płycie Tadeusza Kościuszką w Rynku córka skreślona z listy uczniów, lecz po wielu interwencjach przywrócona do praw ucznia

## Młodzi lat 70-tych

Czy obecnie istnieje jakakolwiek ważna przyczyna, by zajmować się ns nowo problemem aspiracji i wartości młodych ludzi lat 70-tych? Jak sądzę, refleksja taka może być z co najmniej paru powodów ważna.

Po pierwsze, nigdy za mało historii, a zwłaszcza historii, która dotyczy źródeł sierpniowego buntu.

Po drugie i równie chyba istotne, uważne przyjrzenie się procesom jakie wtedy zachodziły /zwłaszcza wśród młodzieży, później generalnie aktywnych uczestników sierpniowego ruchu/ może umożliwić nam wyjaśnienie i zrozumienie niektórych obecnie występujących zjawisk. Chodzi tu szczególnie o procesy integracji społecznej, mającej swe źródła w latach 70-tych, o postawy i zachowania dzisiejszych 30-40-latków, wówczas formujących zręby swoich przekonań.

Po trzecie wreszcie, wiedza socjologiczna o tamtym okresie jest, mimo dość sporej ilości badań /zwłaszcza nad młodzieżą/, wciąż jednostronna, a w niektórych przypadkach wręcz zafałszowana.

Umknęła uwadze badaczy kwestia formowania i funkcjonowania różnych grup młodzieży realizujących tzw. wartości wyższe. Młodych ludzi zorientowanych etycznie i, co dodatkowo ważne, próbujących konkretnie realizować cenione przez siebie wartości. Wprawdzie grupy te funkcjonowały na pograniczu oficjalnego życia lub poza nim, jednak trudno dzisiaj nie doceniać ich funkcji wzorotwórczych i wychowawczych w stosunku do dużej części młodzieży. Tu tworzyło się nowe wzory kulturowe, stąd stopniowo wyłaniały się elity artystyczne i polityczne nie, tylko o zasięgu pokoleniowym.

W szkicu tym opisuję więc ruch społeczno-kulturalny Młoda Kultura /Nowa Fala, Pokolenie '68/, w kolejności ruch młodych katolików kształtowany w ramach prac Duszpasterstwa Akademickiego oraz różne ugrupowania społeczno-polityczne, w tym głównie Studencki Komitet Samoobrony.

Młoda Kultura - ruch początkowo li tylko artystyczny, grupujący poetów, malarzy i rysowników, krytyków a także przedstawicieli teatru i kabaretu studenckiego - spojony przeżyciem pokoleniowym Marca 1968, szybko przekroczył ramy zwyczajnego ugrupowania artystycznego, stając się twórczym ośrodkiem mającym aspiracje organizowania pokolenia wokół wspólnych wartości. Warto zwrócić uwagę na społeczne korzenie tego ruchu. Uczynimy to słowami jednego z najbardziej aktywnych twórców Młodej Kultury, S. Barańczaka. "Właśnie wtedy w szasćdziesiątym ósmym /.../ otwarły się nam oczy i głowy /.../ dostrzagliśmy, że na pozornia gładkiej fasadzie rzeczywistości zaczynały pojawiać się rysy, że społeczeństwo dzieli się według zupełnie innych zasad, niż sobie dotąd wyobrażaliśmy. /.../ poznaliśmy dwuznaczne możliwości słowa, zdolnego do upowszechnienia każdego kłamstwa, choćby klóciło się ono ze zdrowym rozsądkiem i elementarnymi prawami etycznymi /.../ przekonaliśmy się jak wiele trzeba odwagi i wytrwałości, aby pozostać wiarnym tym elementarnym prawom: prawom uczciwości, tolerancji, samodzielnego myślenia" \*).

Sądząc po ilości uczestników spektakli: "Jednym tchem" - Teatru Œmego Dnia, "Spadanie" i "Sennik Polski" - teatru STU /okrzykniętych pokoleniowymi - od "Exodusu" następuje odwrót teatru STU od idei głoszonych przez Młodą Kulturę/, zwolenników poezji S. Barańczaka, A. Zagajewskiego, J. Kornhausara i R. Krynickiego, sympatyków Andrzejś Młaczki precyzyjnie analizującego w komiksach skrzeczącą rzeczywistość i fanów kabaretowej piosenki J. Kleyffa - zasięg oddziaływania wartości lansowanych przez Młodą Kulturę był większy niż się sądzi, zwłaszcza w ośrodkach tradycyjnie aktywnych kulturalnie. Nie można wykluczyć, że część młodych odbiorców percepowala tylko zewnętrzną warstwę tych manifestacji artystycznych, jednak część studentów mogła stwierdzić, że sprzeciw wobec wszechogarniającego kłamstwa, hipokryzji i fasadowości /udajemy, że jest tak jak być powinno/, zdziocinieniu kultury masowej, pssternalistycznemu traktowaniu ludzi jest im bliski, jest także ich sprzeciwam.

Proponowany już we wczesnych latach 70-tych program Młodej Kultury kładł nacisk na wartości etyczne. A. Zagajewski w książce "Świat nieprzedstawiony", będącej swoistym manifestem daleko wykraczającym poza sprawę literatury, pisał: "Celem /naszym/ jest wprowadzenie nowego widzenia naszego świata, program, który zarazem jest maksymalistyczny i skromny, gdyż wymaga mówienia prawdy, odwagi wobec świata, zrozumienia samego siebie i swego środowiska, poznawania warunków swego istnienia /.../. Zniesienie hipokryzji, zwalczenie rozdzarcia między językiem a rzeczywistością /.../ jest zadaniem nowej kultury" \*\*). I dalej: "Działalność /.../ nowej genera-

\*) S. Barańczak, Pokolenie 68. Próbe bilansu. w: Teatra a poezja. Sztuka otwarta, Biuro Wydawnictw AOT Kalambur, Wrocław 1975.

\*\*\*) A. Zagajewski, J. Kornhäuser, Świat nieprzedstawiony, Kraków 1974

cji zaczęła się od /.../ krytyki postaw dwuznacznych, kłamstwa, za-  
kłamania, pozornego zaangażowania i pozornego sprzeciwu, w ogóle od  
krytyki pozoru, aby odróżnić go od wartości rzeczywistych".

Szukając wspólnych wartości poezji "Pokolenia 68" S.Barączak  
wskazuje, że Młoda Kultura "za swoją nadrzędną wartość uznaje perma-  
nenty bunt, krytycyzm, demaskację"\*. W innym miejscu tego samego  
szkicu Barączak dokonuje rekonstrukcji systemu wartości cechującego  
nie tylko - jak mi się wydaje - nowofalowych poetów, ale większość  
twórców i sympatyków Młodej Kultury. "Buntowniczy krytycyzm wpły-  
wający z jednostkowego punktu widzenia /.../ ideał demokracji - poj-  
mowanej w sensie bardzo szerokim nie tylko politycznym, lecz także  
jako każdy system polegający na dopuszczaniu do głosu przeciwstawnych  
poglądów i przekonań /.../ empiryzm i konkretyzm jako skutek niechę-  
ci do ogólnikowych i mamiących haseł; "pojedynek z Gszatą" na szcze-  
blu języka i stylu myślenia - wszystkie te cechy /.../ biorą się z  
jednej /.../ zasadniczej: z przekonania, że gwarantem wolności jest  
prawda". Obrona autonomii jednostki i jej prawa do wolności była  
społecznym zadaniem Młodej Kultury.

W programie Młodej Kultury, nastawionym głównie na teraźniejszość,  
na w miarę precyzyjne rozpoznanie zastanej rzeczywistości społecznej,  
obecna była także wizja przyszłości, "projekt nowej kultury, nowej  
demokracji życia, przecucie jakichś - bliżej jeszcze nie określo-  
nych - zmian w sposobie myślenia i zachowania narodu"\*\*.)

Twórcy Młodej Kultury na początku lat 70-tych, już przecież nie  
studenci, widzieli w młodym pokoleniu - wtedy właśnie określającym  
swój stosunek do rzeczywistości - czynnik zmian, "obarczali go szan-  
są odnowy". Wśród studentów głównie widziano swoją publiczność: lite-  
racką, teatralną, kabaretową; a manifestacje artystyczne ruchu miały  
swe miejsce w klubach studenckich i przynajmniej początkowo były sub-  
sydiowane przez organizację studenckie.

Próbując opisać ethos Młodej Kultury należało zwrócić uwagę na jesz-  
cze jeden interesujący fakt. Na ewentualne powinowactwa Młodej Kultu-  
ry ze światową kontrkulturą. Problem jest złożony i A.Jawłowska w z-  
kończeniu swojej interesującej książki "Drogi kontrkultury"\*\*\*) scep-  
tycznie wyraża się co do ewentualnych wpływów kontestacji zachodniej  
na młodzież polską. Jednek przy całej odmienności kulturowego podłoża  
za pewne formy zachowań, elementy krytyki rzeczywistości, kultury,  
zbiegają się wokół wspólnych wartości. Zbyt wiele miejsca zajęłoby  
udowodnienie tej ryzykownej tezy, wydaje się jednak, że pewne zmiany  
w sferze obyczajów, w działalności artystycznej w konsekwencji stwo-  
rzyły nowy typ wrażliwości emocjonalnej, opartej na doznaniach bez-  
pośrednich, kontakcie "duchowym", wyzwalaniu się z więzi konwensu -  
wspólny obu ruchom /tak sądzi np. T.Nyczek patrząc w 1981 roku na  
historię działalności Młodej Kultury/. Okresem stosunkowo aktywnej  
działalności Młodej Kultury były lata 1971-1973 nazywane czasami "ma-  
łą odwilżą".

Restrykcja administracyjne stopniowo ograniczały możliwość prezen-  
tacji wartości, za którymi opowiadali się młodzi twórcy. Nie zezwolo-  
no na założenie kwartalnika "Młoda Kultura", które to pismo potem przez  
pewien czas wychodziło nieregularnie jako dodatek do "Studenta". Usu-  
nięto ich w końcu z czasopisma "Student", niedługi okres próbującego  
pełnić rolę pisma pokoleniowego. Stopniowo pozbawiono możliwości ar-  
tykulacji w ramach tzw. oficjalnego obiegu kultury. Krótka i błyskotliwa  
historia Młodej Kultury była jedną z pierwszych poważnych lekcji  
społecznych dla części aktywnej kulturalnie młodzieży akademickiej.  
Doświadczenie to pokazało bowiem, że krytyka rzeczywistości społecz-

\*) S.Barączak, pokolenia...

\*\*\*) T.Nyczek, Świat przedstawiony /II/, "Student" 1981, 14

\*\*\*\*) J.Jawłowska, Drogi kontrkultury, Warszawa 1975

nej socjalizmu, nawet z pozycji stosunkowo łagodnych i często zabarwionych lewicową retoryką, nie jest możliwa bez narażenia się na różnego rodzaju represje. Było to doświadczenie grupy stosunkowo nielicznej, choć aktywnej i najczęściej popularnej w środowisku. Duża część studentów w tego typu niewiedzy będzie trwała do Sierpnia.

W latach 70-tych występują znamienne przemiany stosunku inteligencji polskiej do Kościoła, do wiary. Nie chodzi tu nawet o zmiany ilościowe, tak łatwo dostrzegalna w ostatnich latach. Podstawowa różnica tkwi w jakościowo odmiannym sposobie realizowania wartości transcendentnych. Polski tradycyjny katolicyzm ludowy traktowany przez część inteligencji jako relikw, kolorowy i uświęcony tradycją obrzęd, został dopełniony przez dynamicznie rozwijającą się posoborową myśl intelektualną Kościoła. To połączenie głęboko osadzonej w tradycji wisry przodków z personalistycznym nurtem myśli katolickiej, kładącym nacisk na osobę ludzką, na godność człowieka, na sprawy wolności indywidualnej i suwerenności narodowej, na autentyczne wartości ustanawiające sens ludzkiej egzystencji, stało się w latach 70-tych podstawowym punktem orientacji w poszukiwaniu celu i sensu życia sporych grup inteligencji, w tym przede wszystkim młodych ludzi, uczniów szkół średnich i studentów. Proponowane przez system przedmioty konsumpcji, wątpliwej zresztą jakości, za cenę uczestniczenia w grze pozorów, niby życiu, fasadowość życia politycznego i społecznego, ocenienie człowieka na skali posłuszeństwa i dyspozycyjności, upadek wszelkiego rodzaju autorytetów, zderzają się z oferowaną przez Kościół i jego naukę propozycją doświadczenia wartości autentycznych, życia nie ukatwanego, ale sensownego, mierzenie człowieka "miarą serca"\*) - krytyczną postawę wobec wszelkich rodzajów zła. Tak więc oczekiwania i aspiracje inteligencji, niemożliwe do zrealizowania w ramach spetryfikowanych struktur i organizacji państwowych, znajdują swe miejsce w Kościele katolickim, otwierającym się na problemy współczesnego człowieka.

Będący plamą na honorze niemieckiej części intelektualistów polskich udział w propagandowej histerii wokół tzw. listu biskupów polskich do biskupów niemieckich, możliwy, jak pokazuje historia, w latach 60-tych, był nie do powtórzenia w latach 70-tych i to nie tylko dlatego, że "siermiężny socjalizm" Gomułki został zastąpiony przez "zliberalizowany", mieszczański socjalizm Gierka, ale przede wszystkim dlatego, że nastąpiła daleko idące zmiany stosunku intelektualistów do Kościoła i wartości przez Kościół reprezentowanych. Na przeobrażenie w ramach Kościoła katolickiego, które z drugiej strony umożliwiły to zbliżenie, próbowałem wskazać wyżej. Szczególnie wiele tu wniosły środowiska związane z "Tygodnikiem Powszechnym", "Znakiem" i "Więzią". Proces zbliżenia intelektualnego jednej z grup inteligencji, tzw. "lewicy leickiej" z Kościołem interesująco ukazuje A. Michnik w książce "Kościół, lewica, dialog"\*\*) .

Dla młodych ludzi, dla studentów lat siedemdziesiątych, Kościół nie kojarzył się negatywnie, tak jak mógł się kojarzyć części starszej generacji, a wręcz przeciwnie, coraz bardziej jawił się jako jedyna wiarygodna instytucja społeczna, konsekwentnie stojąca w obronie tak cenionych przez społeczeństwo wartości, jak: dobro rodziny, suwerenność narodu, ciągłość tradycji kulturalnej, poszanowanie własności indywidualnej /rodzinne gospodarstwa chłopskie/ i - co wydaje się najważniejsze - oferująca spójny ład moralny oparty na prawdzie, wolności osobistej, poszanowaniu godności człowieka.

Badania socjologiczne od dobrych kilkunastu lat wskazują, że odsetki młodzieży wierzącej i niewierzącej tylko niznacznie się zmieniają. Duża część badań wskazuje na wyodrębniającą się grupę młodzie-

\*) Jan Paweł II. Do młodzieży akademickiej zebrenaj przed kościołem św. Anny, cyt. za "Znak", 1979, 301-302.

\*\*) A. Michnik, Kościół, lewica, dialog, Paryż 1977

ży akademickiej szczególnie mocno przeżywającej wartości metafizyczne, w sposób bardziej pogłębiony i zintelektualizowany a zarazem bardziej spontaniczny i autentyczny niż starsze pokolenie i poprzednie generacje. Dobrze tę różnicę charakteryzuje wypowiedź studenta - członka "wspólnoty akademickiej" popularnej "BECZKI": "dawniej też chodziłem do kościoła, ale na "normalnych" mszach zbyt wielu jest ludzi, którzy przychodzą "odwalić" niedzielny obowiązek. To się czuje i to przeszkadza /.../ Przychodzę dopiero trzy miesiące /na nabożeństwa wspólnotowe /przyp. mój/, ale już czuję jak odmienia się moje życie. Widzę i czuję pełniej i prawdziwiej...") . Ośrodku "Duszpasterstwa Akademickiego" w latach 70-tych staje się w wielu miastach w Polsce prężnymi ośrodkami skupiającymi młodych wierzących ludzi, poszukujących możliwości realizacji wartości absolutnych i zdobycia autentycznej wiedzy o sobie, innych ludziach, o świecie. Realizacja wartości religijnych w posoborowym okresie nie oznaczała przeżywania ich tylko w sposób kontemplacyjny. "...Sobór wykluczył odwrócenie się chrześcijan od świata w sensie zrzucenia odpowiedzialności za kształtowanie tego świata\*\*). Wiedza zdobywana na wykładach, spotkaniach, konferencjach etc. urządzanych przez DA służyła młodym członkom wspólnot za podstawę działań zmierzających do organizowania rzeczywistości. Wspólne przekonanie co do tego, że chrześcijanin nie godzi się na zło i czynnie mu się przeciwstawia, łączy się z wiarą w to, że życie człowieka powinno się opierać na takich wartościach etycznych - będących jednocześnie podstawą przeżycia religijnego - jak prawda, miłość, wolność, otwarcie na drugiego człowieka.

Wartości te, przeniesione na płaszczyznę działań społecznych, owocowały różnorodnymi inicjatywami podejmowanymi przez pragnącą czynnie kształtować życie swoje młodzież. Próba nadania sensu własnemu życiu nie kończyła się więc tylko na przyjęciu chrześcijańskiej interpretacji świata, ale skłaniała do zaangażowania się w prace zmierzające do stworzenia pożądanego stanu rzeczywistości społecznej.

Niektóre instytucje Kościoła, zwłaszcza ośrodki DA, w miarę możliwości stały otworem przed poczynaniami studentów. Zaufanie okazywane młodzieży, partnerstwo w ramach inicjatyw wychowawczych Kościoła i - co niebagatelne - dysponowanie znakomitymi wzorcami osobowymi w postaci wybitnych kaznodziej intelektualistów i wychowawców, przy jednoczesnym marazmie i skostnieniu państwowych instytucji wychowawczych, zainteresowanych realizacją działań pozornych doprowadziło do sytuacji, w której część studentów niewierzących lub obojętnych wobec religii a pragnących żyć uczciwie i sensownie znalazł swój azyl w Kościele.

Pisząc to wszystko mam świadomość, że ci, którzy pozytywnie odpowiedzieli na propozycję Kościoła by spojrzeć na człowieka we wszystkich jego wymiarach, a więc przez pryzmat jego godności, wolności, odpowiedzialności, nie zacieśniając się tylko do zakresu jego potrzeb materialnych, nie stanowili w latach 70-tych większości nawet wśród studentów wierzących. Owszem, pod koniec dekady /pod wpływem przeżycia wspólnotowego, jakim była pierwsza pielgrzymka po kraju Jana Pawła II/, obraz się zmienił, zintensyfikowały się także i różnicowały formy aktywności studentów wierzących.

Celowe wydaje się chociaż pobieżne przyglądnięcie się zmianom, jakie dokonywały się w DA w latach 70-tych. Świadczą one nie tylko o przeobrażeniach dokonujących się w samym modelu organizacyjnym ruchu, dotyczą także przemian w systemie wartości całej młodzieży.

Wczesne lata 70-te charakteryzują się "entuzjastycznym poszukiwa-

\*) D. Pisarek-Krzywicka, Beczka pełna nadziei, "Student", 1981, 9/10.

\*\*\*) Próba konfrontacji, Sobór po 20 latach, Rozmawiają Juliusz Eska i Bogumił Luft, "Więź", 1983, 2.

niem form umożliwiających autentyczne przeżycie religijne"\*) . Liturgia, będąca "centrum życia DA" była współtworzona przez młodzież. Poshukiwano nowych form i wzorów, często kontrowersyjnych dla bardziej zachowawczego kleru i wiernych. Spontanizacja i kult autentyczności nie kończyły się na wprowadzeniu zewnętrznych zmian w liturgię, nota bene bardzo istotnych i znaczących. Wiele "się działo ns rzecz jej zrozumienia i pogłębienia /.../ służyły temu kręgi biblijne /.../, wspólne wyjazdy na nocne czuwania, dni skupienia /.../, dyskusje na tematy zasadnicze, czyli dzielenie się niepokojami moralnymi i światopoglądowymi"\*) .

Styl wychowawczy dominujący w tym środowisku, w ramach którego duszpasterz stawał się równocześnie przewodnikiem, partnerem młodych ludzi, nie zachowując nic z pozycji paternalistycznej, sprzyjał kształtowaniu się postaw podmiotowych i twórczych. Także charakter przekazywanej wiedzy /początkowo dominowała tematyka rodzinno-mażeń-ska, potem zaczęła przeważać filozoficzna i religioznawcza/ na różnego rodzaju konferencjach, odczytach, wykładach spowodowała, że studenci posiadali "wizje chrześcijaństwa żywego, poszukującego, otwartego, w którym dla każdego istnieje jeszcze coś do odkrycia" . Jak pisze J.Ruszar /sam zresztą aktywny uczestnik prac podejmowanych w tamtych latach w DA/ - "Chrześcijaństwo jawiło się nie jako recepta na wszystkie niepokoje i problemy, doktryna pozwalająca na zrzeczenie się ciężaru wyborów, system rozwiązań podanych do wierzenia - lecz jako samodzielne rozwiązywanie w świetle Objawienia zagadnień egzystencjalnych i intelektualnych. Wartości chrześcijańskie nie były przedmiotem przekezu lecz odkrywania, co bardziej odpowiadało możliwościom percepcyjnym współczesnego młodego człowieka i jego mentalności"\*) .

Należy podkreślić, że DA w tym czasie /połowa lat 70-tych/ nie było wolne od problemów, i to zasadniczej natury. Przygotowując młodzież do aktywnego życia w Kościele i rodzinie nie podejmowało działań, które umożliwiałyby studentom, przyszłym pracownikom, bycia aktywnym w świeckim życiu publicznym. Nie było zresztą ani wzoru, ani tradycji w Kościele Polskim. Zarzuty "gettowości", zasklepienie się w kręgu znajomych młodych ludzi, czujących i myślących podobnie, elitarność /często postawy wyższościowe w stosunku do "normalnych katolików"/, nie były bezasadne. Szczególnie ostro przed studentami zarysował się problem szerszego zaangażowania w działalność społeczną w czasie wydarzeń związanych ze śmiercią St.Pyjasa. Naturalną konsekwencją dotychczasowej działalności DA było wyłonienie się grupy zaangażowanej młodzieży katolickiej, współtworzącej nowo powstający, niezależny ruch studencki. Również w ramach stałych prac DA mocniej akcentować tematy społeczne, polityczne i historyczne. Działania na rzecz zachowania tożsamości i autentyczności kultury narodowej doprowadziły do współpracy z ludźmi o odmiennych przekonaniach światopoglądowych, ale o podobnym systemie wartości. Wzrasta wtedy także ilość nowych członków biorących udział w pracach DA, często wcześniej nie związanych z Kościołem, a widzących jedynie tutaj możliwość realizacji własnych celów życiowych. Jednych DA, jego sesje i wykłady, przyciągały oferowaną wiedzą, gdzie indziej niemożliwą do prezentowania. Inni sądzili, że znajdują tu odpowiedni klimat do podejmowania działalności politycznej i społecznej. "Przyciąganie aktywnej młodzieży o ambicjach politycznych, nie mieszczącej się w strukturach państwa, rodziło niebezpieczeństwo ideologizacji i politycyzacji katolicyzmu"\*) - taką opinię wyraża autor artykułu w "Więzi". W konsekwencji w ramach DA sytuacja ta doprowadziła do wyodrębnienia się grup: a/ zdecydowanie nastawionych na realizowanie wartości stricte

\*) J.Ruszar, Duszpasterstwo Akademickie Dominikanów "Beczka", "Więź", 1983, 2.

religijnych, np. Ruch Odnowy w Duchu Świętym; b/ koncentrujących się na sprawach etyki osobistej; oraz c/ grupy młodych katolików zaangażowanych politycznie. Wydaje się, iż działalność DA w skali kraju /a także ruchu Światło-Zycie/ doprowadziła do uformowania się nowego typu katolika - świadomego wartości przez się wyznaczanych, pragnącego je realizować, zaangażowanego i zainteresowanego zmianami zmierzającymi do przebudowania sfery stosunków społecznych, kulturalnych i ekonomicznych.

W drugiej połowie lat 70-tych powstaje w Polsce zorganizowana, jawnie działająca opozycja demokratyczna, zaangażowana w walce o nadanie demokratycznego sensu stosunkom społecznym. W wielu miastach część młodzieży akademickiej podjęła czynną współpracę z KOR-em, a śmierć /w do dziś nie wyjaśnionych oficjalnie okolicznościach/ jednego ze studentów krakowskich - Staszka Pyjasa, zaangażowanego w zbieranie podpisów pod petycją do Sejmu w obronie represjonowanych robotników Redomie, stała się momentem przełomowym dla środowiska studenckiego. W związku ze śmiercią S.Pyjasa, studenci krakowscy samorzutnie i spontanicznie zbojkotowali Juvenalia, będące zresztą w ostatnich "przedpyjasowych" czasach synonimem "studentkości" w najgorszym wydaniu, i masowo wzięli udział w symbolicznym pochodzie żałobnym; pierwszej od Marca 68 demonstracji na taką skalę. Efektem protestu było utworzenie w Krakowie Studenckiego Komitetu Samoobrony, załączka niezależnej i autentycznej organizacji studenckiej. Później podobne grupy powstają w Gdańsku, Warszawie, Wrocławiu, Lublinie. Jak już wcześniej pisałem, współtwórcami krakowskiego SKS byli młodzi katolicy z DA, drugą, równie liczną grupę stanowili studenci o odmiennym rodowodzie intelektualnym. Da się go wywieść z tradycji Marca 68, z doświadczeń pokolenia Młodej Kultury, z kontrkultury w ogóle. Marzec 68 e właściwie jego legenda, mit, był dla tych ludzi "zastępczym" przeżyciem pokoleniowym, wyznaczającym ich stosunek do rzeczywistości społecznej; o specyficznym kolorycie tej grupy ludzi decydowały wpływy kontrkultury, jej wytworów, np. bliskie kontakty z teatrem Laboratorium Grotowskiego lub bezpośrednio - korzystając z otwarcia Polski w latach 70-tych na Zachód. Luźna struktura organizacyjna SKS-u wynikała m.in. z kontrkulturowego przekonania, że autentyczność jednostki, jej wewnętrzna niezależność, spontaniczność, jest niemożliwa do realizacji w ramach sztywnych reguł organizacyjnych. Stąd częsta aktywność działań, pełna spontaniczności i autentyzmu, ale wywołująca komplikacje gdy chodziło o zamierzenia długofalowe.

Jeśli gdański odpowiednik SKS-u dość szybko przeobraził się w wyraźnie określony ideowo Ruch Młodej Polski, w Lublinie katolicy utworzyli "Spotkania", to w krakowskim SKS-ie nigdy nie było dominacji którejs z inicjującej Komitet grup. W walce o fundamentalne prawa człowieka, wolność osobistą, swobodę głoszenia poglądów i zrzeszania się itp. wartości demokratyczne spotkały się dwie grupy, co prawda rówieśnicze ale o odmiennych rodowodach intelektualnych i spadkobiercy różnych tradycji. Przy czym, jak sądzę, obie mieszczą się w - swoście co prawda przetworzonym - tradycyjnym ethosie inteligencji polskiej. Z jednej strony to tradycja polskiej inteligencji katolickiej, gdzie wartości narodowe i religijne splecione są w jeden nierozzerwalny system, zmodyfikowany nieco inspiracjami z Lasek i Odrodzenia, ze zdecydowanym odrzuceniem jakichkolwiek form nacjonalizmu. Z drugiej to tradycja polskiej lewicy laickiej, z jej tolerancją, podnoszeniem wartości demokratycznych, egalitarnych a także z jej nieodłączną niepokornością i sceptycyzmem. Jak już wcześniej pisałem, była to tradycja modyfikowana wpływem ówczesnej kultury /kontrkultury/ młodzieżowej i stąd z lekka anarchizująca obyczajowość. Obie te grupy łączyło poczucie przynależności cywilizacyjnej, niechęć do polityki /o czym będzie mowa dalej/ a także pragnienie wzajemnego poznania się

w duchu tolerancji. "Różowi" zaczęli doceniać nienaruszalne wartości wnoszone przez "czarnych". Kościół przestał im się kojarzyć wyłącznie z totalną instytucją. "Czarni" zaczęli dostrzegać spontaniczność i nonkonformizm "różowych". Niewątpliwie nastąpiło zbliżenie dwóch światów. Ta koncentracja na opisie dwóch inicjatywnych grup SKS-u mogłaby sugerować nieustanną walkę frakcyjną w ramach Komitetu. Nic bardziej błędnego. Rzetelne długie dyskusje prowadziły do zajęcia jednego stanowiska, akceptowanego przez wszystkich. W całej kilkuletniej historii grupy, mimo zmieniających się członków, tylko dwukrotnie doszło do ostrzejszych sporów i niezgodnienia stanowiska. Grupa na zewnątrz reprezentowała się jednolicie, a wartością podkreślaną na każdym kroku i pilnie strzeżoną przez wszystkich była niezależność. SKS-owcy bardzo dbali, aby Komitet był wyłącznie studencki, by naprawdę autentyczni studenci mieli decydujący wpływ na jego poczynania.

Jedyna dotychczas organizacja studencka, SZSP, ostatecznie utraciła wiarygodność, stając po stronie swoich mocodawców w otwartym konflikcie między władzą a studentami. Nie była zresztą nigdy organizacją studentów - tylko dla studentów, instytucją świadcząca - "za minimum konformizmu i posłuszeństwa wobec aparatów organizacyjnych - usługi w postaci wspomaganie karier zawodowych, świadczenia socjalne, rekreacyjne, kulturalne itd". Tworzenie nowych struktur początkowo spontanicznie gwałtowne, wynikające z impulsywnego moralnego sprzeciwu wobec praktyk władzy, nepotykało stopniowo kluczowe wręcz dla zrozumienia postaw młodzieży trudności. Pierwsza z nich jest konsekwencją trzydziestoparoletniego działania systemu, którego podstawowym, systematycznie realizowanym jedynym celem było umacnianie władzy. Dokonywało się to drogą stopniowego ubezwłasnowolnienia społeczeństwa przez odbieranie mu możliwości samodzielnego działania w sferze politycznej i społecznej. Doprowadziło to do sytuacji, w której młodzież spontanicznie przystająca do ruchu stawała bezradna w oczekiwaniu na program, wytyczne, szczegółowe zasady działania, nie rozumiejąc, że to ona ma go tworzyć, artykułując swoje potrzeby i dążenia. Drugą trudność polegała na tym, że w świadomości studentów działalność polityczna, polityka sama /taka, jaką znali z doświadczenia i przekazu propagandowego/ była par excellence nieetyczna. Była sferą kłamstwa dla młodych katolików, nieuczciwej gry, podejrzanych interesów. Możliwość uetycznienia polityki, potraktowania jej jako "roztropnej troski o dobro wspólne" na przykład, a nie jako walki o władzę, przekonanie, że działalność polityczna jest możliwa, właściwa dla człowieka cywilizowanego kraju, było sprawą nabycia odpowiedniej wiedzy, wiedzy, która była pomijana czy zatajana przez instytucje systemu wychowawczego, a której zdobyć nie było można dotychczas drogą doświadczenia bez równoczesnego sprzeniewierzenia się własnym zasadom moralnym.

Nowo powstające struktury zapełniły szybko lukę w tej sferze, organizując cykle wykładowe, seminaria, tworząc grupy samokształceniowe, udostępniając niezbędną literaturę, zakładając wreszcie własne wydawnictwa. Okazało się, że studenci przejawiają tu zgoła inny stosunek do wiedzy i pracy niż na studiach.

W systemie, który wiedzy nie preferuje jako podstawowego kryterium awansu społecznego i ekonomicznego, dla wielu studentów studiowanie było przede wszystkim miejscem, gdzie realizuje się potrzeby afiliacyjne; tzw. "życie studenckie", rajdy jako najpełniejsza forma aktywności społecznej, wieczory spędzane w klubach studenckich, alkohol jako podstawowy czynnik rozmów na "istotne" tematy, to wszystko wyznaczniki bycia studentem dla niemałej liczby młodzieży akademickiej różnych kierunków i uczelni. Znaczącym staje się więc fakt realizacji wiedzy jako wartości autotelicznej poza studiami i uczelnią. Mimo trudności, jakie wiązały się ze zdobyciem tego typu wiedzy, stu-



denci licznie zapełniali pomieszczenia, w których mieli się spotkać z historią swej Ojczyzny, z analizą socjologiczną i politologiczną ustroju, w którym im przyszło żyć, poznać koncepcje filozoficzne i zaznajomić się z wybitnymi dziełami literackimi. Na wykładach prof. W. Bartoszewskiego u Dominikanów pod koniec lat 70-tych gromadziło się regularnie po 5 tys. studentów, czyli prawie co dziesiąty studiujący w Krakowie. Ten wykład i wiele jemu podobnych cechowała rzetelność i uczciwość intelektualna oraz wysoki poziom merytoryczny. Tego typu autorytety młodzież akceptowała będąc jednocześnie nieufna wobec słowa głoszonego w oficjalnych instytucjach wychowawczych.

Można zauważyć, że grupy opisywane w tym szkicu spełniały dość charakterystyczną rolę, próbowały realizować i upowszechniać wartości obecne przecież w umysłach członków społeczeństwa polskiego, a tkumione i spychane na dalszy plan ze względu na postrzegane przez większość nikłe szanse realizacji.

Działalność Młodej Kultury dowodziła, że można te wartości jednak realizować; szerząc tę świadomość czyniła prawdopodobnym zajście ich w szerszej skali.

Jacek Kuroń w trakcie sesji na UW poświęconej rocznicy Marca powiedział: "To co się zmieniło między Październikiem a Marcem i Marcem a Sierpniem, to - klimat, to - zeczy gotowość ludzi do zademonstrowania swojej postawy, do działania"

Marzec '68, Sesja na UW, 1981, NOWA Z.E.N. J. Kuroń: Między Październikiem '56 - a Marcem '68

KAJETAN BRZESKI

## OPINIE BADANYCH O PRASIE NIEZALEŻNEJ \*)

Oprócz znejomych i przyjaciół, zachodnich radiostacji nadających swe audycje po polsku - prasa niezależna jest istotnym źródłem informacji dla większości osób, które badaliśmy. Pytanie o zasięg rozpowszechniania się prasy oraz książki niezależnej zadawaliśmy już raz ponad rok temu /badania S. Jegliwieckiego/.

Z satysfakcją można stwierdzić, iż prasa dociera obecnie do większej liczby osób. Wyniki wskazuje tabela.

Czy dociera do Pana /Pani/ prasa niezależna? /w procentach/

Tak, regularnie i dość często		Nieregularnie ale dość często		Rzadko		Wcale nie dociera		B.O.	
1984	1985	1984	1985	1984	1985	1984	1985	1984	1985
25,2	25,9	39,7	47,2	27,9	21,7	6,1	4,2	5	0,8

Oczywiście, oczekiwania na niezależną informację są jeszcze większe - 23,5% - zwłaszcza tych, którzy rzadko lub wcale nie otrzymują prasy związkowej pragnęłoby kupować psrę różnych tytułów.

Jeżeli sytuacja z gazetkami wygląda nieźle, to pogorszyło się dotarcie do mieszkańców Krakowa z niezależną książką. W zimie 1984 ro-

\*) Fragment opracowania badań ankietowych Kazimierza Tuskiego pt. "Kto popiera "Solidarność"?. Całość opracowania przygotowywana do druku. Badania przeprowadziło Niezależne Biuro Badania Opinii Społecznej NSZZ "Solidarność".

ku nie otrzymywało książek 14,2% osób, w naszych badaniach procent nie mających kontaktu z książką bez cenzury wzrósł do 27%. Mimo znacznej drożyzny książki niezależnej większość ludzi chciałaby mieć okazję ją kupować.

Pragnąc bliżej przyjrzeć się rynkowi prasy niezależnej, pytaliśmy badanych o tytuły pism, które kupują i czytają najchętniej. Oto pełna lista tych gazet według ich popularności czytelniczej /dane w procentach/:

Czytam	Regularnie i często	Rzadko	Nie czytam	B.O.
1. Hutnika	35,6	42,5	13,7	8,2
2. Małą Polskę	24,1	24,5	36,7	14,6
3. Biuletyn Małopolski	18,6	49,6	20,3	11,4
4. Aktualności	18,4	38,8	29,0	13,8
5. Gazetki Porozumienia Prasowego SZ - Montinowiec				
Solidarność Zwycięży	14,4	33,4	38,1	14,1
6. Tygodnik Mazowsze	11,8	37,8	36,1	14,2
7. Prasa dzielnicowa				
Solidarność Grzegórzki, Podgórze	8,8	21,9	53,1	16,2
8. Zomorządność	7,5	35,3	42,3	14,9
9. "Niepodległość" lub inne pisma niezależne nie wydawane przez "S"	5,6	29,9	48,2	16,4
10. Prasa związkowa z innych regionów	2,8	36,7	44,7	15,8

Uwaga: W ankiecie tytuły pism podaliśmy w kolejności alfabetycznej.

Jak widać, czytelnictwo prasy niezależnej w Małopolsce przedstawia zróżnicowany obraz. Co prawda, jest to o niebo lepsza sytuacja niż z końcem lat siedemdziesiątych, gdy wprowadzono pod Hutą trochę "Robotnika", a w samym Krakowie wychodziło niezależne pismo studenckie /rzecz godna odnotowania - znikła zupełnie niezależna prasa studencka!/, ale daleko jeszcze do sytuacji pełnego nasycenia.

Nie mamy niestety możliwości porównania sytuacji krakowskiej w tym względzie z jakimiś innymi regionami. Potoczne obserwacje wskazują ostrożnie, że nie jest źle.

H u t n i k - zdecydowanie najczęściej czytany, nie otrzymuje go jedynie 21,9% zapytywanych - jest popularny w różnych środowiskach. Pewne różnice występują tylko wtedy, gdy porównujemy regularnie i często czytających z tymi, którzy go czytają rzadko.

Przeciętny, systematyczny czytelnik "Hutnika" okazuje się:  
 - mężczyzną,  
 - najczęściej w wieku 30-40 lat,  
 - z wykształceniem zawodowym,  
 - robotnikiem przemysłowym pracującym bezpośrednio w produkcji, najczęściej w dużym zakładzie.

Najbardziej cieszy fakt, że najczęściej i regularnie niezależną prasę i książki czytają ludzie młodzi. Jeśli uwzględnimy sten wykształcenia, nie ma specjalnych różnic w poczytności prasy niezależnej. Dwie najczęściej czytające kategorie, to osoby z wykształceniem niepełnym średnim i wyższym. Tylko w wypadku czytelnictwa książek rysuje się przewaga osób wyżej wykształconych. Jednakże i tu poziom czytelnictwa wśród robotników jest wysoki.

Rządowe ośrodki badawcze z zaniepokojeniem stwierdziły ostatnio,

iz jeřliiby porównać liczbę robotników czytających regularnie książki w 1979 roku i 1984 to okazuje się, że wzrosła ona o ponad 60%!

My nie mamy powodów do niepokoju. Wyniki naszych badań mówią wyraźniej, jakie to książki robotnicy ostatnio czytają.

## Metropolita Andrzej Szeptycki w służbie Kościoła Chrystusowego

Powracająca cyklicznie od czterdziestu lat w środkach masowej informacji PRL kampanie antyukraińska zmierzała i nadal zmierza do utrzymania i spotęgowania istniejącej wśród znacznej części społeczeństwa polskiego niechęci czy wręcz wrogości do Ukraińców. Upředzenia i nieufność wobec Ukraińców i wszystkiego co ukraińskie powojennym pokoleniom Poleków zaszczepiane są programowo i konsekwentnie poprzez odpowiednio spreparowane w podręcznikach wszelkiego typu szkół informacje i dane, przedstawiające Ukraińców, ich kulturę i dzieje w sposób wyrzykowy, tendencyjny i najczęściej negatywny. Dopełnieniu i utwierdzeniu tego płaskiego, stereotypowego obrazu Ukrainy i Ukraińca służy, niezmiennie obowiązujący w szkołach, zestaw lektur, ograniczający tematykę ukraińską do działalności nacjonalistów ukraińskich z OUN - UPA przedstawianą w dodatku w sposób wycinkowy, wypaczony i wyolbrzymiony.

Stworzony przez Sienkiewiczą i utrzymywany w okresie międzywojennym, a ukonkretniony i upowszechniony w PRL przez Gerharda i jemu podobnych pisarzy-kombatentów tzw. "wojny bieszczadzkiej" negatywny stereotyp Ukraińca utrwalił się w świadomości potocznej od tego stopnia, że często przesłania on całokształt trwających od dziesięciu wieków stosunków polsko-ukraińskich. Wynikające z dawnych sąsiedzkich waśni pretensje, upředzenia i fobie pielęgnowane przez propagandę oficjalną nie sprzyjały jekiejkolwiek refleksji nad przyczynami polsko-ukraińskich konfliktów, zniechęcając tym samym Polaków do poznawania kultury i dziejów narodu ukraińskiego liczącego dziś około 50 mln. i żyjącego w swej zasadniczej masie w bezpośrednim sąsiedztwie z Polską.

Powody nasilającej się w ostatnich latach i prowadzonej z wyjątkowym obskurentyzmem propagandy antyukraińskiej w Polsce stały się dziś aż nadto widoczne i zrozumiałe. Jest ona bezpośrednio reakcją na coraz częściej pojawiające się w poważniejszych publikacjach niezależnych przejawy refleksyjnego myślenia o przyczynach polsko-ukraińskich konfliktów, a także coraz głębiej uświadamiene przez Poleków przekonanie, iż bez Wolnej Ukrainy nie ma Wolnej Polski.

Dlatego też w Polsce, a tym bardziej na Ukrainie po zlikwidowaniu wszelkich niezależnych instytucji i organizacji działających w podziemiu tak podczas okupacji, jak i po drugiej wojnie światowej cele i formy ich działań oceniane są przez czynniki oficjalne tylko negatywnie, a wszelkie przejawy dążeń autonomicznych czy niepodległościowych uważane są ze odchylenia nacjonalistyczne, zdradę dziełałności antypaństwową, godzącą w zawarte na wieki aozusze. Polacy, dzięki umacniającemu się i dowartościowującemu coraz bardziej Kościołowi Rzymsko-katolickiemu mają jednek nieporównywalnie większą swobodę myśli i działań od Ukraińców, będących obiektem bezustannej rusyfikacji,

wyzysku, poróżnienia, prześladoweń i represji ze "nacjonalizm i antypaństwo". W powojennej Polsce Kościół Rzymskokatolicki jako jedyna instytucja operł się w znacznej mierze destrukcyjnej ideologii stalinowskiej, natomiast w Ukrainiejskiej Republice Cerkiew Grekokatolicka jako jedyna instytucja, mogąca wymknąć się spod kontroli totalitarnej władzy została zlikwidowana w marcu 1946 roku uchwałą tzw. "soboru biskupów" we Lwowie, w którego obradach nie wzięli udziału żaden z grekokatolickich biskupów ukraińskich. Jak wynika z informacji podanej przez więzionego przez 18 lat Metropolity Josyfa Slipęgo wierność chrześcijańskim tradycjom swych ojców i Stolicy Piotrowej przypłaciło cierpieniami w więzieniach i życiem "10 grekokatolickich biskupów, 1400 księży, 800 siostr zakonnych oraz dziesięć tysięcy wiernych" /z kazania Kardynała Josyfa Slipoho z 1980 roku pt. "Nasza cerkwa zostaje"/.

Bezustanne prześladowanie i wielokrotne próby zlikwidowania Cerkwi Greckokatolickiej wynikają z tego, że jej najwyższym zwierzchnikiem nie jest pozostający pod stałym naciskiem i nadzorem Kremla patriarcha moskiewski lecz niezależny od jakiegokolwiek władzy świeckiej papież.

Punkt ciężkości wielkomocarstwowych rosyjskich usiłowań asymilacyjnych padał bezustannie na sprawy cerkiewne od czasów zdominowania Ukrainy przez Rosję, po zrujnowaniu Sycy Zaporoskiej przez Piotra I i zlikwidowaniu resztek autonomii przez Katarzynę II, która drogą podsyćania nienawiści prawosławnych do unitów oraz stosując przymus i represje "nawróciła" na, będące gałęzią administracji carskiej, prawosławie rosyjskie 9300 psrafii i 150 klasztorów, a więc tym samym ponad półtora miliona spośród 3,8 milionowej rzeszy unitów żyjących w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Z drugiej zaś strony unicy, będący współmieszkańcami tej samej co i Polacy Rzeczypospolitej, a następnie monarchii Austro-Węgierskiej ulegali stopniowej latynizacji oraz polonizacji, szczególnie po synodzie zwołanym w roku 1720 w Zamocściu, wyznaczającym, już odtąd oficjalnie, kierunek dalszej latynizacji obrządku i odejścia od bizantyjsko-ruskich tradycji. Szczególnie wymownym jest to fakt, iż biskupi ruscy, mimo nacisków papieży, nie mieli wejść do senatu, w którym swoje miejsca posiadali biskupi łacińscy /wyjątkiem jest tu zaliczenie do senatu w 1790 r. metropolity kijowskiego T.Rostockiego/.

Zawerte w roku 1596 z inicjatywy prawosławnych biskupów ruskich - Cyryla Terleckiego, Adama Pociejs i katolika Bernarda Maciejewskiego - kościelna unia prawosławna z Rzymem, stała się zeczynem pluralizmu kulturowego w całym katolicyzmie /służyła też zarazem odsunięciu Rusinów spod duchowego wpływu nieprzyjaznej potencji moskiewskiej, a mocniejszemu związaniu Rusinów-Ukraińców z państwem polsko-litewskim/. Zapoczątkowany przez unitów pluralizm w Kościele katolickim został należycie zrozumiany i doceniony dopiero po 367 latach przez papieża Jana XXIII podczas obrad Soboru Watykańskiego II, a następnie przez Jana Pawła II, który do Ukraińców z Filadelfii powiedział między innymi, iż "Ukraiński Kościół Unicki ma do odegrania ważną i wybitną rolę".

Zanim jednak świat usłyszał te ważne i zobowiązujące dla wszystkich chrześcijan z Ukrainy, Polski oraz całej Słowiańszczyzny, a także Europy słowa papieża Słowianina, duchowni i wierni ukraińskiej Cerkwi Grekokatolickiej przez ponad 3,5 wieku ponosili samotnie wszystkie koszty jakże typowe dla działań prekursorów.

Koszty unii okazały się dla Rusinów-Ukraińców znaczne i są odczuwane do dziś. Unia stała się przyczyną trwającego do dziś rozbitcia jedynowyznaniowej przed wiekiem XVII społeczności ukraińskiej na unitów i przeciwników unii /dyzunitów/. Namiętna polemika między unitami i dyzunitami rozgorzała po synodzie brzeskim nie skończyła się na sporach, ale doprowadziła do aktów przemocy, a nawet zbrodni. Ukraiń-

com-unitom przyszło opłakiwać męczenników swej sprawy od św. Józefa Kuncewicza poczynając, a ne ofiarach łagrów sowieckich kończąc.

Nie zdawali też unicy zetrzymać nasilającej się rusyfikacji w zarborze carskim, a polonizacji na terenie Galicji Wschodniej. Polonizacji już w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej uległa bez mała cała arystokracja, ziemiaństwo, a także znaczna część wyższej hierarchii Cerkwi Greckokatolickiej.

Synem takiego spolonizowanego ruskiego rodu ziemiańskiego był wnuk Aleksandra Fredry arcybiskup Andrzej Szeptycki /1865-1944/, u- chodzący za najwybitniejszego przywódcę dwadziestowiecznej Ukrainy. Arcybiskup Andrzej Szeptycki, długoletni Metropolita Lwowski obrządku greckokatolickiego /w latach 1901-1944/ jest jednym z czołowych odnowicieli, obrońców i praktycznych realizatorów właściwie rozumianej idei unijnej, odczytywanej zgodnie z postanowieniami synodu brzeskiego nie - jak często bywało - jako powrót za wszelką cenę do Rzymu, lecz jako dążenie do utrzymania łączności z Rzymem, ale z zachowaniem własnego rytu, języka liturgii, obrządku i ceremonii Cerkwi bizantyjsko-ruskiej.

Już w pierwszych latach swej aktywnej pracy i działalności jako metropolita doprowadził arcybiskup Szeptycki do imponującego rozwoju instytucjonalnego Cerkwi Greckokatolickiej, odnowy duszpasterstwa na terenie Galicji Wschodniej. Inspirował powstanie ukraińskich organizacji charytatywnych, kulturalnych i społecznych. Należał do wyższej izby parlamentu wiedeńskiego, gdzie wypowiadał się za powstaniem wielkiej, politycznie niezależnej Ukrainy. Z planami o niepodległej Ukrainie wiązał się szeroko zakrojony program misyjny Cerkwi Greckokatolickiej, której rozwój w Galicji był w dalszym planie skierowany na Ukrainę Centralną i miał służyć odbudowie zlikwidowanej przez władze carskie hierarchii tej Cerkwi, jej odnowie i rozbudowie. W realizowaniu tych celów miały pomóc upoważnienia do działań na terenie ziem ukraińskich włączonych do imperium rosyjskiego, uzyskane od papieża Piusa X na wy- padek wojny już w roku 1908. Jednak zajęcie Galicji Wschodniej przez armię carską w pierwszych miesiącach wojny czasowo pokrzyżowało te pleny i przyniosło Cerkwi Greckokatolickiej ciężkie doświadczenia. Postępujący z wojskami rosyjskimi prawosławny metropolita rosyjski Eulogiusz w swej odezwie nawoływał unitów do powrotu na prawosławie ro- syjskie, zaś metropolita Andrzej Szeptycki w latach 1914-1915 został wywieziony do Rosji.

Działalność z myślą o niepodległości Ukrainy w warunkach Galicji Wschodniej prowadziła jednak do wzrostu nastrojów antypolskich wśród politycznie zaangażowanych wiernych oraz części duchowieństwa grecko- katolickiego. Metropolita Szeptycki do końca istnienia Austro-Węgry domegał się w parlamencie wiedeńskim uznania autonomii dla Ukraiń- ców w Galicji Wschodniej, gdzie między Sanem a Zbruczem Ukrainy stano- wili większość około 75%. Natomiast po rozpadzie monarchii habsbur- skiej metropolita wszedł do Rady Narodowej, która proklamowała dru- gie niezależne państwo ukraińskie /obok Ukraińskiej Republiki Ludo- wej w Kijowie/, Zechodnioukraińską Republikę Ludową, która utrzymała się aż do lata 1919. W czerwcu tego samego 1919 roku Rada Ambasado- rów Ententy zgodziła się na czasową okupację Galicji Wschodniej przez Polskę, zobowiązując rząd polski do przestrzegania autonomii i do u- możliwienia Ukraińcom utworzenia własnego uniwersytetu we Lwowie. Polska jednak nie dotrzymała tych zobowiązań międzynarodowych. Mimo to we wrześniu 1919 roku doszło do zawarcia umowy rozejmowej Józefa Piłsudskiego z Semenem Petlurą, dowódcą armii Dyrektoriatu Kijowskie- go, pobitej przez Denikina. Rozejm Piłsudskiego został rozszerzony w kwietniu 1920 r. Zawarto wówczas umowę polityczną i porozumienie obustronne gwarantujące prawa dla mniejszości ukraińskiej żyjącej w ramach II Rzeczypospolitej. Polska zobowiązała się też do niezawiera- nie umów, godzących w Ukraińców i zawerty z nimi sojusz.

Już w maju 1920 roku odbyła się wspólna wyprawa wojsk Piłsudskiego i Petlury przeciwko Sowietaom. Po pierwszych niepowodzeniach podczas walk z wojskami sowieckimi i wycofaniu się z Kijowa 12 października 1920 roku Polska i Rosja Sowieckie zawierają rozejm w Rydze, w wyniku którego wojska dotychczasowego sojusznika Piłsudskiego Semena Petlura zostały internowane na terenie Rzeczypospolitej, a Petlura wywieziony do Parvża w 1924 roku, gdzie dwa lata później ginie z rąk zamachowców.

Wszystkie te fakty prowadziły do zaostrzenia się stosunków polsko-ukraińskich, tym bardziej, że jak wynika z ustaleń historyków, w tym m.in. Mirosławy Papierzyńskiej Turek, działające w okresie II Rzeczypospolitej duże stronnictwa polityczne "polską rację stanu, integrację ziem i umacnianie państwa wiązały z polityką asymilacji ludności ukraińskiej, a różniły się jedynie w wyborze środków dla jej realizacji". Natomiast polityczni działacze ukraińscy, organizujący się głównie we Lwowie /który, choć od czasów zajęcia tego miasta przez Kazimierza Wielkiego w połowie XIV wieku stawał się wciąż poważniejszym ośrodkiem życia naukowego i kulturalnego Polaków, to jednak nie przestał być centrum życia kulturalno-literackiego, naukowego i politycznego Ukraińców/ domagali się odzyskania coraz bardziej ograniczanych przez władze polskie praw, wywalczonych już w okresie monarchii Austro-Węgierskiej, a także do wygęzkwowania od rządu polskiego postanowień Rady Ambasadorów, a więc nadania Galicji Wschodniej autonomii.

Po zdradzeniu Ukraińców w Rydze, przebywającemu od stycznia 1919 roku w areszcie domowym we Lwowie Metropolicie Szeptyckiemu udało się letem roku 1921 wyjechać do Rzymu, gdzie osobiście złożył raport papieżowi Benedyktowi XV, prosił o nowe wytyczne w sprawie dalszych zadań Cerkwi Greckokatolickiej oraz zabiegał o poparcie dla sprawy niepodległości dla swego narodu. Interweniował m.in. u przedstawicieli Ententy na rzecz Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej i nie włączania Galicji Wschodniej do Polski. Poparcia dla sprawy ukraińskiej szukał Szeptycki wszędzie, ale za cel najwyższy stawiał sobie wyznaczone jednocześnie Ukrainy, ojczyzny swoich przodków. Zrealizowaniu tego zadania miała służyć misja unijna na Wschodzie, co wynikało z rzymskich prelekcji Metropolity na temat idei i możliwości misyjnych unii, której odnowa nie leżeła jednak w interesie władz polskich, budziła ich podejrzliwość, zaś dla rządowego prawosławia rosyjskiego i Rosji pozostawała jak zawsze solą w oku.

Kiedy starania Szeptyckiego na rzecz niezależności dla Ukraińców nie dały rezultatów, Metropolita wrócił do Lwowa, okupując swój powrót przyrzeczeniem lojalności politycznej wobec władz polskich. Wielostronny i dynamiczny rozwój Cerkwi Greckokatolickiej w okresie międzywojennym wiąże się w sposób naturalny z postacią Metropolity Szeptyckiego, co wyrażało się m.in. w stworzeniu wzorowanych na łacińskiej Akcji Katolickiej stowarzyszeń inteligenckich i młodzieżowych np. Ukraiński Katolicki Sojuz /UKS/ z własnym organem wydawniczym "Méta".

Szeptycki dążył do odnowienia i duchowego umocnienia Greckokatolickiej Cerkwi Ukraińców. Pragnął z Cerkwi tej uczynić siłą pod względem intelektualnym i moralnym instytucję, która mogłaby aktywnie uczestniczyć w życiu narodu, ale jednocześnie byłaby instytucją samodzielną, zdolną do potępienia takiej działalności w służbie narodu, która nie była zgodna z zasadami chrześcijańskimi. Można przytoczyć szereg tekstów z działalności Metropolity Szeptyckiego, będących świadectwem jego starań o to, by Cerkiew Greckokatolicka pozostawała świadkiem wartości chrześcijańskich i nie ulegała instrumentalizacji na rzecz ukraińskich dążeń narodowych, radykalizujących się w wyniku bezkompromisowej postawy władz II Rzeczypospolitej, które dążyły do zasymilowania i spolonizowania około 5,5 milionowej i żyjącej na wła-

snym terytorium mniejszości ukraińskiej, rozszerzanej częściowo, często zwodniczymi i nie mającymi perspektyw realizacji działaniami wojewody Henryka Józewskiego na Wołyniu /asymilacja państwowa/ czy propozycjami, a raczej obietnicami naczelnika wydziału wschodniego w ministerstwie spraw zagranicznych Tadeusza HołóWKi. Jak czytamy w monografii Iwo Werschlera s.211 - "ujmując sprawę całościowo... o-biektywnie działał HołóWka na rzecz asymilacji państwowej, która wbrew pozorom nie odbiegała w praktyce daleko od esymilacji narodowej i dlatego netrefiała na zawzięty opór przywódców ugrupowań nacjo-nalistycznych mniejszości".

Istnieje wiele dokumentów świadczących o tym, że działalność na rzecz odnowionej Cerkwi Greckokatolickiej prowadził Metropolita Szep-tycki zgodnie z podstawowymi zasadami chrześcijańskimi od początku do końca swej pracy duszpasterskiej, charytatywnej i kulturalnej. Już w roku 1901, zdając sobie sprawę z religijnej obojętności czy przeja-wów ateizmu wśród części inteligencji ukraińskiej, napisał Szepetycki specjalny list do inteligencji świeckiej, w którym mówił o istocie i znaczeniu wiary chrześcijańskiej w epoce materializmu i nadsciągają-cego z Moskwy i Petersburga bolszewizmu. W roku 1908 Szepetycki, ryzy-kując zerwanie stosunków z aktywistami ruchu narodowego, potępił fakt zamordowania przez ukraińskiego studenta namiestnika Galicji hrabiego Andrzeja Potockiego. Z drugiej zaś strony udzielał Metropo-lita poparcia moralnego działaczom ukraińskim, gdy wysuwali oni słu-żne w jego przykonaniu postulaty zmierzające do uzyskanie praw nie-zbędnych dla kulturalnego rozwoju Ukraińców galicyjskich. Popierał starania Ukraińców o rozwój ukraińskiego szkolnictwa podstawowego, średniego oraz założenie Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie, o co walczyli Ukraińcy najpierw za czasów rządów monarchii Austro-Węgier-skiej, a następnie w odrodzonej Polsce, w której ich prawa w porów-naniu z okresem przed rokiem 1918 zostały w wielu dziedzinach, a przede wszystkim w zakresie szkolnictwa, poważnie ograniczone.

W kwestiach politycznych zajmował Szepetycki postawę ponadpartyjną. Choć najbardziej zbliżył się do stowarzyszenia organicznego - Ukraiń-sko Narodowego Demokratycznego Zjednoczenia /UNDO/, reprezentującego nurt umiarkowany w ruchu ukraińskim, to jednak przygotował odrodze-nie ruchu chadeckiego w różnych formach organizacyjnych. Tego typu organizacją był powstały w roku 1931 Ukraiński Katolicki Sojuz /UKS/, który nie był partią i współpracował z innymi organizacjami ukraiń-skimi i któremu w działalności przyświecały zasady chrześcijańskie.

W roku 1930 Szepetycki protestował przeciwko pacyfikowaniu przez wojska polskie wsi ukraińskich i aresztowaniu ukraińskich działaczy narodowych włącznie z 30-toma byłymi posłami ukraińskimi, mimo że stojąca po stronie rządu senacyjnego partia /UNDO/, do której był Me-tropolita zbliżony, zdecydowanie potępiła strajki i protesty robotni-ków i chłopów ukraińskich, wysyłając w czasie terroru policyjnego i pacyfikowania wsi ukraińskich deklarację lojalności na adres ministra spraw wewnętrznych. Z drugiej zaś strony, gdy radykalizujący się przywódcy nacjonalistów ukraińskich rozpoczęli działania terrorysty-czne, dokonując napedów i zamachów, m.in. na ministrę Bronisława Pie-rackiego, Metropolita, kierując się zasadami chrześcijańskimi, potę-pił terror jako metodę walki politycznej. Inne ważniejsze wystąpie-nie Szepetyckiego z lat trzydziestych to: protest przeciwko wyburze-niu /około 130/ ukraińskich cerkwi prawosławnych na Chełmońszczyźnie, wystąpienia w obronie niezależności Ukraińskiej Zakarpackiej, natomiast po zawarciu układu Ribbentrop-Mołotow apele o neutralność w sprawie konfliktu Poleków z Niemcami, co było równoznaczne z przeciwstwie-niem się organizowaniu powstania antypolskiego.

Gdy na mocy układu Ribbentrop-Mołotow Armia Czerwona weszła 17 września do Galicji Wschodniej włączając te tereny do ZSRR, wobec Grekokatolików, podobnie jak i katolików a także Ormian władze so-wieckie zastosowały represje. Skonfiskowane zostały wszelkie dobra

materialne Cerkwi Greckokatolickiej, zniszczono wiele relikwii świętych, zabytków sztuki sakralnej, dokumentów i bezcennych pamiątek. Zlikwidowano szkoły, wydawnictwa i drukarnie greckokatolickie, a także organizacje chrześcijańskie i instytucje charytatywne. Monaasteria i cerkwie pozamykano, przeznaczając je z czasem na magazyny, a zakonników i księży rozproszono. Już jesienią 1939 roku rozpoczęto masową deportację ludności wyznania greckokatolickiego na Syberię i do Kazachstanu. Liczba deportowanych w semej tylko archidiecezji wyniosła około 200 tys. ludzi, zaś z całej Galicji Wschodniej około 0,5 mln. Podczas 20 miesięcy rządów sowieckich w Galicji Wschodniej 34 księży greckokatolickich zabito i 41 deportowano. Akcją przesiedławiania Cerkwi Greckokatolickiej już wówczas w roku 1941 miała w zamierzeniu Moskwy doprowadzić do jej zupełnego wyniszczenia. Przygotowania te zostały przerwane, gdy 22 czerwca 1941 roku Niemcy i Rumuni rozpoczęli wojnę z ZSRR.

Po proklamowaniu 30 czerwca 1941 roku, przy użyciu radiostacji lwowskiej, niepodległości Ukrainy /bez pytania o zgodę i wiedzy Niemców/ Metropolita Szeptycki następnego dnia - 1 lipca 1941 r. wydał list pasterski witający niepodległe państwo ukraińskie oraz armię niemiecką, na którą jak na wyzwolicielkę spod bolszewizmu czekali zarówno przesiedłowani przez Sowietów grekokatolicy-Ukraińcy, jak i katolicy-Polacy. Już wkrótce miało się okazać, iż noszący na pasach hasło "Bóg jest z nami" hitlerowscy "wyzwoliciele" spod ałalinizmu - programowo i jawnie zwalczające chrześcijaństwo, również nie mieli nic wspólnego z etyką chrześcijańską i obroną jej wartości, a tym bardziej nie byli zainteresowani w popieraniu, a nawet w tolerowaniu niepodległościowych dążeń Ukraińców. Niemcy Ukraińską Radę Narodową, pełniącą rolę parlamentu tymczasowego, rozwiązali, zaś sformułowany 6.VII.1941 roku rząd Jarosława Stečki oraz szereg działaczy OUN ne czele ze Stefanem Banderą aresztowali już po 5 dniach, 11 lipca 1941 roku.

Metropolita Szeptycki, po przekonaniu się co do rzeczywistych zamierzeń hitlerowców, przystąpił do demaskowania faszystów jako systemu społecznopolitycznego, otwarcie potępił zbrodnie ludobójstwa, domagał się ich zaprzestania, a w wielu wypadkach zbrodniom takim osobście zapobiegał. W grudniu tego samego 1941 roku potępił systemy władzy niezgodne z zasadami chrześcijańskimi. W marcu 1942 r. do duchowieństwa i wiernych w liście peterskim wystąpił przeciwko uczestniczącym w morderstwach popełnianych na Żydach, Polekach i innych ludziach.

W swym pierwszym liście do papieża z sierpnia 1942 roku, przyznając się do fatalnej pomyłki we wstępnej ocenie "wyzwoliciele" spod bolszewizmu stalinowskiego, Szeptycki określał faszystów mianem "systemu kłamstw, oszustw, niesprawiedliwości, grabieży, będącego karykaturą wszelkich pojęć o cywilizacji i łaździe. Ten system egoizmu, doprowadzonego aż do absurdu, zupełnie zupełnie zwirowanego szowinizmu narodowego, nienawiści do wszystkiego co uczciwe i piękne jest czymś tak niezwykłym, że chyba pierwszym wrażeniem, jakie się odczuwa na widok tego potwora, jest osłupienie. Do czego system ten doprowadzi nieszczęsny naród niemiecki? Tylko do zwyrodnienia jakiegoś historyjki jeszcze nie znała".

W tymże liście do papieża donosił Metropolita o morderstwach dokonywanych głównie na Żydach: "/.../ Co najmniej już od roku nie ma dnia, w którym nie byłyby dokonywane najohydniejsze zbrodnie, morderstwa, kradzieże i grabieże, konfiskaty i wymuszenia. Pierwszymi ofiarami są Żydzi. Liczba Żydów zamordowanych w naszym małym kraju z pewnością już przekroczyła dwieście tysięcy /.../ W listach pasterskich, oczywiście konfiskowanych, protestowałem przeciwko ludobójstwu; zdołałem je jednak cztery czy pięć razy odczytać zgromadzonemu duchowieństwu. Ogłosiłem, że zabójstwo człowieka podlega ekskomunice, zastrze-



żonej dla Ordynariusza. Protestowałem także listem do Himmlera i starałem się ostrzegać młodych przed zapisywaniem się do milicji, gdzie mogą ulec zgorzeniu...".

Oprócz protestów przeciwko morderstwom hitlerowskim wysylenych do władz III Rzeszy /w tym czasie Watykan milczał/, Szeptycki uratował przed zagładą setki Żydów, przechowując ich w klasztorach i zabudowaniach Greckokatolickiej Metropolii Lwowskiej przy katedrze św. Jura. Uratowani Żydzi w dowód pamięci posadzili w Jerozolimie "drzewo wdzięczności" Szeptyckiemu.

W liście pasterskim z listopada 1942 r. pt. "Nie zabijaj" ercybiskup Szeptycki pisał m.in.:

"/.../ W dziwny sposób okłamują siebie i innych ci, którzy uważają, że zabójstwo polityczne nie jest grzechem. Jakoby polityka miała zwalniać człowieka od obowiązku przestrzegania Prawa Bożego i usprawiedliwiać nieczne czyny sprzeczne z naturą człowieka. Tak nie jest. Chrześcijanin zobowiązany jest do przestrzegania Prawa Bożego nie tylko w prywatnym, ale także w życiu politycznym i społecznym. Człowiek, który przelewa niewinną krew swojego wroga, przeciwnika politycznego, jest takim samym zabójcą jak ten, który czyni to w celu rabunkowym. Tak samo zasługuje on na karę Bożą i klątwę Kościoła..."

List ten, podobnie jak i następny, z sierpnia 1943 r. pt. "Pokój o Panie" wzywający do zaprzestania walk polsko-ukraińskich, został przychylnie przyjęty przez podziemie polskie. Redakcja "Prawdy" - organu Frontu Odrodzenia Polski, przedrukowując list Metropolity Szeptyckiego w tłumaczeniu na język polski we wstępie odredakcyjnym pisał: "/.../ List ten, zaznaczyć należy, ogłoszony został 14.VIII.1943, a więc bezpośrednio po rozprzestrzenieniu się rzezi Polaków na terenie Metropolii.

Głos Metropolity jest tym charakterystyczniejszy, że nie ogranicza się tylko do potępienia mordów i bezprawia, ale wzywa Ukraińców do obrony życia i mienia ludności zagrożonej aktami terronu. Ze względu na doniosłość treści podejmy tekst listu w całości i w najwerniejszym tłumaczeniu".

Szeptycki nie ukrywał krytycznego stanowiska wobec wschodniej polityki władz polskich, ale był jednocześnie jednym z najpoważniejszych inspiratorów rozmów polsko-ukraińskich. Do ostatnich chwil życia wzywał oddziśy Ukraińskiej Powstańczej Armii do zaprzestania walk, tym dramatyczniejszych, że prowadzonych na trzy fronty. Najpierw były to walki przeciwko hitlerowcom i przeciw bolszewikom, a następnie z Polskami na Kresach Wschodnich, z których to terenów przywódcy UPA zamierzali wyprzeć osadników polskich, również poprzez stosowanie terronu, rozpoczętego w wyniku bezkompromisowej postawy podziemie polskiego, opowiadającego się za utrzymaniem wschodniej granicy przysiężj Polski, ustalonej w Rydze kosztem Ukraińców.

Problemem oddzielnym pozostaje ocena, na ile wyczerpanemu chorobą gościcową i przykutemu do wózka inwalidzkiego 80-letniemu Metropolite udeży się dotrzeć do rozpalonych umysłów polityków nacjonalistycznych.

Jedno nie ulega wątpliwości, a mianowicie fakt, że nadrzędnym celem Metropolity Szeptyckiego była odnowa Cerkwi Greckokatolickiej z myślą o rozszerzeniu unii na całą Ruś-Ukrainę włącznie z utworzeniem /podobnie jak za czasów prawosławnej metropolii kijowskiej w wieku XVII/ niezależnego od patriarchy moskiewskiego Greckokatolickiego Patriarchatu Halicko-Wołyńskiego i całej Rusi-Ukrainy. Nastawiony misyjnie na Ukrainę Wschodnią Metropolite Szeptycki nie zaniedbał ani jednej okazji stwarzającej choć odrobinę szans na odwrócenie greckokatolickiej cerkiewnej struktury za Zbruczem. W roku 1942 biskup Josyf Slipyj reaktywował parafie greckokatolickie w Kijowie, biskup Czarnecki z podobną misją pracował na Polesiu i Wołyniu.

Ponieważ najwyższą instytucją broniącą interesów każdego narodu

jest jak dotąd własne niepodległe państwo, popierał Szeptycki otwarcie i konsekwentnie aspiracje wolnościowe swego narodu, gdyż życie Cerkwi silnej duchowo miało służyć zdrowszemu i godniejszemu życiu narodu. Dlatego tak wiele listów poświęcił chrześcijańskiej etyce i kulturze, a także mającej stać się łącznikiem z cywilizacją zachodnią roli unii oraz znaczeniu Cerkwi w życiu jednostek własnego narodu, grup, a przede wszystkim w cywilizacyjnym rozwoju własnego narodu, stojącego u progu drugiego tysiąclecia chrystianizacji Rusi-Ukrainy.

Metropolita Szeptycki zdawał sobie aż nadto sprawę z tego, jak ważne znaczenie ma do odegrania Cerkiew w procesie jednoczenia się Ukraińców w walce o uzyskanie prawa do decydowania o własnym losie "na nasziej - na swojej ziemi" - jak powiedział wieszcz i rzecznik wolnej Ukrainy Taras Szewczenko. Żyjąc w tak trudnych czasach arcybiskup Szeptycki przekonał się niejednokrotnie, iż dotąd Cerkiew na Ukrainie pozostaje rozdarta jak ciało Chrystusa, dotąd będzie bezbronna wobec nacisków zewnętrznych czy inwigilacji, dokąd nie przestanie być ramieniem administracji rządowej, jak cała instytucja Cerkwi rosyjskiej. Szeptycki dążył do stworzenia Cerkwi samoistnej, niezależnej od patriarchatu moskiewskiego, a więc i Kremla. Zjednoczona i niezależna od Moskwy, a pozostająca w łączności z Rzymem Cerkiew na Ukrainie służyłaby aktywnemu rozwijaniu i utwierdzeniu kultury i etyki chrześcijańskiej, a także dawała Ukraińcom równe szanse wzięcia udziału w cywilizacyjnym pochodzie narodów europejskich.

Ale właśnie dlatego, że Cerkiew na Ukrainie, pozostająca w unii z Rzymem, to jedyna instytucja, która wymykała się spod kontroli najpierw petersburskiego caratu, a potem kremłowskiego bolszewizmu, nie tolerował jej ani Piotr I, ani Stalin i jego następcy. Najsilniejszy przejaw działań Ukraińców na rzecz autonomii, a tym bardziej niezależności wykrywany był i tępiiony zawsze, odkąd Rosja po plecach Ukrainy weszła na rynki zachodnie i polityczną arenę międzynarodową. Nie przypadkowo hetman Iwan Mazepa, który chcąc naprawić błąd taktyczny Bohdana Chmielnickiego przeszedł na stronę króla szwedzkiego Karola XII, by wyzwolić Ukrainę spod penowania cerów, okrzyknięty zdrajcą przez Piotra I, do dziś tym zdrajcą, w dodatku nie cara lecz "narodu ukraińskiego, pozostaje, jak informują o "narodzie radzieckim czyli sowieckim" wszystkie podręczniki czy encyklopedie wydane przez Sowietów. Zestawmy fragmenty dokumentów świadczące o tym, że polityka władców imperium carskiego, przetworzonego po 1917 roku w rosyjskie imperium sowieckie, wobec unitów i Ukrainy od ponad 300 lat, to jest od czasu systematycznego podporządkowywania sobie Ukrainy, nie ulega żadnej zmianie.

Piotr I dowiedziawszy się o "zdradzie" hetmana Mazepy w 1709 roku wydał specjalny uniwersał, w którym pisał do "wiernych naszych poddanych narodu mełorosyjskiego /sic! / duchownych i świeckich, a osobliwie starszyny generalnej Wojske Zaporoskiego, pułkowników, setników, atamenów kurenych i całego wojska małoruskiego". Zdaniem wielkiego cara Mazepa "przeszedł na stronę nieprzyjaciela, króle szwedzkiego, wedle ugody zawartej z nim i Leszczyńskim... aby zniewolić ziemię małoruską oddając ją pod panowanie polskie, a cerkwie bożej i monasterzy przekazać unitom... Rozkazujemy wam przeto, abyście zdredzie byłego hetmana nie sprzyjeli i przy wojsku rosyjskim stanęli przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, a dla wykorzenia wszelkiego zła... zjechali się do Głuchowa w celu wybrania wedle praw i wolności wolnymi głosami nowego hetmana, co jest rzeczą niezbędną dla uratowania całej Małej Rosji".

Myślący jednak o uratowaniu Ukrainy, a nie Rosja Mazepa nie miał wątpliwości co do planów Piotra, gdy wyjaśniał swym żołnierzom motyw przejścia na stronę Szwedów i pisał w liście do pułkownika Iwana Skoropadskiego:

"Już od wielu lat wroga nam władza moskiewska pragnęła przez zły zamysł wykorzystać nasze ostatnie pragnienia i wolności. Teraz wprowadza go ona w czyn. Wynika to jasno z zagarnienia bez ważnej przyczyny miast małorosyjskich, wypędzenia z nich naszych ludzi, doszczętnie zubożalnych i zniewolonych, oraz wprowadzenia do miast własnych wojsk... /Car/ chciał wziąć w tyrańską niewolę nas wszystkich; hetmana, starszszynę, pułkowników i wojsko całe; nazwę wojska tego wymazać; Kozaków przemienić w dragonów i żołnierzy; naród zniewolić na wieki".

A jednak w świadomości Sowieców zdrajcą i wrogiem narodu ukraińskiego pozostaje do dziś nie Piotr I lecz Mazepa, który bezbłędnie przejrzał intencje założyciela Petersburga-Leningradu, uwielbianego przez Puszkina, krytykowanego przez Mickiewicza i znienawidzonego przez Szewczenkę, który patrząc na napis na pomniku cara wykuty przez Katarzynę II napisał:

Wtem napis na skale  
Przeczytałem, dłutem kuty:  
"Pierwszemu Wtoraja"  
Pierwszy ten, co Ukrainę  
Naszą ukrzyżował,  
A "Wtoraja" - co dobiła  
Nieszczęśliwą wdowę.  
Katy, katy, ludojady.

/Tł. B.Łepki/

Powyższe dygresje historycznoliterackie nie są tu przypadkowe. Piotr I i Stalin mieli ten sam cel względem Ukrainy, dążyli do zupełnego podporządkowania sobie i zniewolenia Ukraińców, różnili się tylko co do metod realizowania swych zamiarów. Piotr I rujnując Sicz Zaporożską a wolnych Kozaków zaprzęgając do budowy Petersburga likwidował resztki autonomii ukraińskiej. Stalin, napotykając na opór podczas likwidowania wysokorozwiniętego na Ukrainie rolnictwa indywidualnego w ramach "rozkułaczania", służącego wprowadzeniu cięższej niż carska pańszczyzny kolektywistycznej, sztucznie wywołanym głodem na Ukrainie w latach 1933-1934 skazał na śmierć ponad 5 mln Ukraińców. O stosunku stalinizmu do inteligencji ukraińskiej mówi sama za siebie antologia poezji ukraińskiej pt. "Rozstrzelane odrodzenie" oraz okres tzw. "jeżowszczyzny" /od nazwiska szefa bezpieki Jeżowa/ kiedy rozpoczęto zagładę kultury ukraińskiej. Wystarczy tu powiedzieć, że literatów działających w roku 1930 było 259, a w roku 1939 tylko 36. Gdy cel terroru został osiągnięty, rozpoczął się trwający do dziś i wciąż nasilany proces rusyfikacji Ukrainy, gdyż jak oświadczył w 1939 roku Chruzczow "wobec dążeń Niemców do oderwania Ukrainy od ZSRR należy nasilić walkę z nacjonalizmem oraz nauczanie języka rosyjskiego w szkołach wszelkich stopni". Przypomnijmy, że bezpośrednim powodem ukazu carskiego z 1876 roku zakazującego drukowania książek w języku ukraińskim, który obowiązywał praktycznie do rewolucji, był przekład Pisma Świętego na język ukraiński, co zdaniem ówczesnych władz carskich mogłoby doprowadzić najpierw do kulturalnego, a następnie politycznego oderwania się Ukrainy od Rosji.

Tak jak za czasów Piotra I wycofująca się przed Szwedami armia rosyjska, tak za czasów Stalina zaskoczona przez Niemców Armia Czerwona wycofując się w głąb Rosji, stosowała na Ukrainie politykę spalonej ziemi.

Z podobną carom bezwzględnością zaczęli bolszewicy tępić unię, która z wyroku Stalina miała przestać istnieć. Wszystkich biskupów gerckokatolickich i setki księży oraz tysiące "opornych" wiernych osadzono w łagrach, a dokumentem tzw. "synodu lwowskiego biskupów" z roku 1946, w którym nie wziął udziału żaden biskup greckokatolicki, ogłoszono fakt powrotu Cerkwi Greckokatolickiej na łono prawosławia rosyjskiego.

W dziesiątą rocznicę śmierci Stalina, w przerwie obrad Soboru Watykańskiego II na interwencję papieża Jana XXIII Chruszczow zwalnia po 18 latach katorgi następcę Metropolity Szeptyckiego, kardynała Josyfa Slipego. Fakt ten rozpoczął nowy rozdział w historii Cerkwi Greckokatolickiej.

W marcu 1980 roku papież Słowianin Jan Paweł II zwołał Nadzwyczajny Synod Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej, przyznając jej zgodnie z ustaleniami Soboru Watykańskiego II status samodzielnej Cerkwi z własnym Synodem, która może swobodnie realizować wschodnią tradycję swego obrządku. Decyzje te wywołały nieapodykowaną dotąd, historyczną propagandę antyunicką na Ukrainie. W dniach 25 listopada - 1 grudnia 1980 roku odbyło się zwyczajne posiedzenie Synodu piętnastu biskupów greckokatolickich, którzy w osobnym dokumencie uznali postanowienia tak zwanego "synodu lwowskiego" z roku 1946 za nieważne i niebyłe. W opublikowanym oświadczeniu przekazywali "do wiadomości całemu naszemu klerowi diecezjalnemu i zakonnemu, wiernym, że synodu, na którym nasz Kościół miałby zerwać swoją jedność ze Stolicą Apostolską w Rzymie nigdy nie było. Natomiast tzw. "synod lwowski" z 1946 roku nie miał z naszą Cerkwią Ukraińską nic wspólnego i nadal nie wspólnego mieć nie będzie. Nasza Ukraińska Cerkiew pozostanie nadal integralną częścią Kościoła Powszechnego... Lwowskie zgromadzenie z roku 1946 zwołane zostało pod naciskiem rządu sowieckiego przez kilku ukraińskich księży greckokatolickich i samo proklamowało się synodem... Nie był to jednakże w żadnym wypadku legalny, zgodny z prawem Synod naszej Cerkwi i nie mógł nim być, gdyż nie wziął w nim udziału żaden z biskupów Cerkwi Greckokatolickiej. Obecność kilku księży i świeckich nie wystarczy w żadnym chrześcijańskim Kościele do prawnej legalności takiego "synodu". Biskupi ukraińscy przypomnieli też encyklikę papieża Piusa XII "Orientales omnes..." z roku 1946, w której papież jednoznacznie wystąpił przeciwko postanowieniom "synodu lwowskiego".

Na wieść o postanowieniach w dokumencie biskupów ukraińskich, głowa prawosławia rosyjskiego ze Stolicy Calej Rusi - Moskwy pisał do papieża Jana Pawła II z właściwym rosyjskiej cerkwi rządowej tonem:

"Z głęboką trwogą i goryczą muszę powiedzieć, że deklaracja Synodu ukraińskich biskupów może - w pełnym sensie tego słowa - przekreślić wszystkie ogromne osiągnięcia w sferze braterskiego zbliżenia naszych Kościołów, zbliżenia będącego wynikiem naszych usilnych obustronnych starań trwających od Soboru Watykańskiego II. Deklaracja stwórzona wiele nowych napięć w stosunku między naszymi Kościołami, napięć, które ze względu na swe następstwa, mogą stać się tragiczne dla współpracy między naszymi siostrzanymi Kościołami.

Treść i duch tej deklaracji obce są panującemu dotąd w naszych stosunkach - duchowi ekumenicznego braterstwa i stanowią - oprócz tego - próbę zrewidowania i naruszenia struktury Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Nie chciałbym tu poruszać poszczególnych twierdzeń zawartych w tej deklaracji i analizować ich, ponieważ sądzę, że może to jedynie przywołać wspomnienia o tragicznym charakterze stosunków, których grzyzy leżą po obu stronach.

Piszę do Waszej Świątobliwości z nadzieją na możliwość odnalezienia wyjścia z zaistniałego - niebezpiecznego dla naszych stosunków - położenia".

W odpowiedzi na list patriarchy Piemena Jan Paweł II pisał m.in.: "Stolica Apostolska zajmując jednoznaczne stanowisko - jakie zresztą zawsze zajmowała - w stosunku do spraw ukraińskich katolików, wyraża żal z powodu tej publikacji, która nastąpiła nim jeszcze sam mogłem zapoznać się z tymi dokumentami, szybko poinformowała wszystkie nuncjatury w krajach, gdzie żyją wspólnoty katolików Ukraińców, że teksty te nie były zaaprobowane i nie mają oficjalnego charakteru. Zalecono również równocześnie nieopublikowanie i nierozpowszechnia-

nie tych dokumentów. Żaden organ Stolicy Apostolskiej nie wspomniał o nich".

Treść cytowanych listów wywołała duże poruszenie w środowiskach ukraińskich na całym świecie, była też na różny sposób komentowana w prasie na Zachodzie. Dokumenty te wraz z oświadczeniem kardynała Jossyfa Slipego, wyjaśniającym całą sprawę, przedrukowały "Spotkania" Nr 16, gdzie zamieszczono także ważny list otwarty wiernych Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej w ZSRR do papieża.

Z listu patriarchy Piemena wynika jednoznacznie, że posoborowy dialog ekumeniczny za czasów papieża Pawła VI prowadzony był z prawosławiem rosyjskim kosztem Ukraińskiej Cerkwi Greckokatolickiej, której dokumenty powstałe podczas obrad Synodu "obce są panującemu dotąd w naszych stosunkach - duchowi ekumenicznemu braterstwa i stanowią - oprócz tego zdaniem Piemena - próbę zrewidowania i naruszenia struktury Cerkwi Rosyjskiej Prawosławnej".

Ten ostatni członek wywodu patriarchy Piemena mógłby zabrzmieć szczególnie humorystycznie, gdyby w tym paradoksalnym i zaskakującym stwierdzeniu nie było prawdy. Logicznie rzecz biorąc, żadne dokumenty biskupów ukraińskich, w dodatku katolickich, nie powinny naruszać struktury Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, gdy Greckokatolicka Cerkiew Ukraińska, to zupełnie niezależna i nie mająca do "soboru lwowskiego" w 1946 niczego wspólnego z Rosją, przynajmniej w metropoli lwowskiej. Jest to Cerkiew odmienna pod względem wyznaniowym i narodowym, istniejąca poza strukturą Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

Problem jednak w tym, iż Rosyjska Cerkiew Prawosławna, służąca swoim rosyjskim władzom, w tym także na tak ważnej dla utrzymania się tych władz Ukrainie, nie może tolerować jakichkolwiek innych niezależnych czy autonomicznych cerkwi ukraińskich na swoim terenie. Dlatego też rządzące na Ukrainie rosyjskie władze sowieckie zlikwidowały nie tylko Cerkiew Greckokatolicką, pozostającą poza strukturą Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, ale także nie mogą tolerować Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, którą prawosławni biskupi ukraińscy próbowali w 20-tych latach reaktywować, ale w 1930 roku zostali rozpędzeni i aresztowani przez Stalina. Z dwójga złego władze sowieckie wołałyby raczej zalegalizować działającą w podziemiu Cerkiew Greckokatolicką, niż pozwolić na reaktywowanie Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej na Ukrainie.

Złagodzenie represji w 1984 roku w stosunku do działających w podziemiu duchowieństwa greckokatolickiego i wiernych na Ukrainie czy pozwolenie na przyjazd z Watykanu do Polski arcybiskupa greckokatolickiego Mirosława Marusyna ma służyć zneutralizowaniu wciąż rosnących aspiracji autonomicznych prawosławnych Ukraińców, domagających się reaktywowania zlikwidowanej na całej Ukrainie przez Rosję Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, nie oznacza to jednak zmiany kursu wobec unitów. Są oni przedmiotem bezustannych ataków we wszystkich sferach masowej informacji, podlegają represjom, a także różnymi sposobami popycha się ich w stronę latynizacji, by Cerkiew Greckokatolicka nie stanowiła alternatywy dla prawosławnych Ukraińców i nie uświadamiała im, iż są wchłaniani przez rządowe prawosławie rosyjskie. Jeżeli nawet fakt bezprawnego i przymusowego wcielenia Cerkwi Greckokatolickiej /rozwijającej się w latach 1596-1946 w zupełnej niezależności oraz izolacji od Moskwy/ nie przestał być wyrzutem sumienia któregoś z biskupów cerkwi rosyjskiej, to jego ewentualna skrucha i współczucie braciom w Chrystusie nie może wpłynąć na zmianę stosunku prawosławia rosyjskiego do grekokatolików ukraińskich.

Nieustanne starania duchowieństwa i wiernych grekokatolików o oficjalne zarejestrowanie ich Cerkwi i przywrócenie jej dawnych praw, zagwarantowanych w konstytucji ZSRR, wprowadza w poważne zakłopotanie nie przygotowanych do pluralizmu w chrześcijaństwie i nieprzyzwy-

czajonych do tolerowania "odszczepieńców unickich" hierarchów Cerkwi Prawosławnej i całej Rusi-Rosji, sięgającej aż po Lwów. W dodatku zarówno patriarchat moskiewski, jak i władze na Kremlu tak ważny dla Ukraińców jubileusz, jakim jest milenium chrztu Kijowskiej Rusi-Ukrainy, traktują, wbrew faktom historycznym, jako swoje święto, zapominając, że Moskwa istnieje jako taka od połowy wieku XII, a stolicą Wielkiego Księstwa Moskiewskiego stała się znacznie później, zaś Kijów w wieku XII miał już za sobą szczytową fazę rozwoju złotego wieku kultury chrześcijańskiej na Rusi Kijowskiej.

Przywrócenie Ukraińcom jakichkolwiek praw i dopuszczenie do głosu zlikwidowanych na Ukrainie obu cerkwi - Grekokatolickiej i Prawosławnej Autokefalicznej nie jest na ręce cerkwi rosyjskiej, a tym bardziej władzom kremlowskim ze względów moralnych i cerkiewnych, prestiżowo-mocarstwowych, a szczególnie z powodów ideowo-politycznych. Wiadomo w dodatku, że jako instytucja Cerkiew Rosyjska, która w roku 1589 sama proklamowała się cerkwią patriarchalną, nigdy nie posiadała własnej twarzy, zawsze była traktowana instrumentalnie. Najpierw wysługiwała się swemu władcy i "pomazańcowi bożemu" carowi, a następnie przyszło jej, zdzieiwiątkowanej przez Stalina i wciąż infiltrowanej i inwigilowanej, modlić się za ideologicznie jej wrogię, antyreligijne władze.

Cerkiew ukraińska, niezależnie od tego czy są to prawosławni, czy grekokatolicy, jest zupełnie w innej sytuacji, wciąż walczy z prześladowcami z zewnątrz. Polemiki wokół unii i spory o "prawdziwą wiarę" samych Ukraińców nie były walką wyznaniową, lecz walką o autonomizację i niezależność Cerkwi i jej partykularyzm, służący zachowaniu własnych tradycji i rozwijaniu ich, co dekretem Soboru Watykańskiego II o Kościołach Wschodnich, uznającym ich odrębność, zostało jedynie usankcjonowane. Dzięki temu partykularyzm Grekokatolickiej Cerkwi może służyć zbliżeniu Kościoła Katolickiego z Cerkwią prawosławną, a nie - jak się niekiedy uważa - przeszkadza w tworzącym się dialogu ekumenicznym. Realizowana przez Ukraińców idea unii brzezańskiej z roku 1596 nie pozostaje w sprzeczności z rozpoczętym dialogiem ekumenicznym, który jest tej idei częścią. Niektóre z celów, przyświecających ruchowi ekumenicznemu, Ukraińcy już właśnie osiągnęli.

Coraz bliższe staje się urzeczywistnienie idei patriarchatu ukraińskiego. Myśl o jego utworzeniu przewija się przez całe tysiąclecie dzieje Ukrainy, począwszy od czasów Rusi Kijowskiej, przez sobór w Florencji 1349 roku po Unię Brzeską; od konkretnych przygotowań Weniamina Rutskiego i Piotra Mohyły po próby praktycznej realizacji dalekosiężnych planów Metropolity Andrzeja Szeptyckiego. Grekokatolicka Cerkiew Ukraińska, korzystająca ze swego rodzaju jurysdykcji patriarchalnej; jako samorządny organizm cerkiewny, widzi możliwość skuteczniejszej obrony przed prześladowaniami w uzyskaniu patriarchatu. Proklamowanie /obok już istniejącego katolickiego i maronickiego/ Grekokatolickiego patriarchatu Halicko-Wołyńskiego i całej Rusi-Ukrainy, jest możliwe i przez Ukraińców bardzo oczekiwane.

Do myśli o utworzeniu patriarchatu ukraińskiego, którego istnienie nie kolidowałoby ani pod względem prawnym, ani terytorialnym z istnieniem prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego i całej Rusi, przyzwyczajają się Moskwa, której przeczulenie wywołane obawą proklamowania patriarchatu na Ukrainie graniczyło z obsesją, wynikającą z racji nie tylko moralnych i cerkiewnych, ale przede wszystkim ideologicznych i politycznych. Świadczy o tym narada sekretarzy Komitetów Centralnych państw obozu sowieckiego zwołana w Berlinie Wschodnim 3-5 lipca 1979 roku, a poświęcona omówieniu pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. W dokumentach tej narady m.in. czytamy: "W polityce Watykanu w stosunku do krajów socjalistycznych wyznaczony został nowy etap, który charakteryzuje się gwałtownym wzrostem

aktywności Kościoła rzymskokatolickiego, dążeniem do przekształcenia jej w opozycję polityczną w krajach socjalistycznych... Przedmiotem pilnej uwagi obecnego kierownictwa Watykanu jest Ukraińska SPR. Usiłuje ono wykorzystać wciąż jeszcze znaczący aktyw Cerkwi Katolickiej jako bazę dla rozszerzenia religijnego wpływu na mieszkańców republiki. /"Woprosy nauconogo ateizma". "Myśl" 1981, w. 28. s. 202-203/.

Na Ukrainie nasilono propagandę antyunicką. W 1981 roku w samym tylko obwodzie lwowskim działało 587 komisji dla wykorzystania z życia wierzących Ukraińców religijnych obrzędów i tradycji, a wprowadzenie "świąt" sowieckich. Do zaszczepienia ideałów materializmu zatrudniono 3 tys. lektorów i 7 tys. agitatorów ateizmu. W wielu byłych cerkwiach, przekazanych na muzea ateizmu, zorganizowano specjalne przeszkolenia dla dorosłych i młodzieży. Metody tej propagandy opracowywano w Uniwersytecie Lwowskim oraz Instytucie Nauk Społecznych. Wiele miejsca tej tematyce poświęca prasa, radio, telewizja. Wyświetlano filmy typu "Fałszywy nimb", "Tajemnica świętego Jura", ukazujące "działalność nazistowską" księży grekokatolickich pod kierownictwem "kolaborantów" Metropolity Andrzeja Szeptyckiego i Josyfa Slipego, którym poświęcono również tony papieru. Wciąż aktualna i wznawiana jest książka S.T. Danylenki "Droga hańby i zdrady" (\*). Jeden z jej rozdziałów nosi tytuł: "Cerkiew unicka - agencja faszyzmu i Watykanu". Jest ona przeznaczona dla pracowników naukowych, studentów, lektorów i propagandzistów. W specjalnie wydanej /po pierwszej wizycie papieża Polaka w Ojczyźnie/ broszurce N.O. Safronowej "Cerkiew unicka i faszyzm", w rozdziale zatytułowanym "Na służbę u neofaszystów", gdzie Jan Paweł II występuje niemalże jako rękawicysta i "zwolennik neofaszyzmu", autorka m.in. pisze:

"Rewanżyci; wrogowie demokracji, socjalizmu z nadzieją patrzą na nowego papieża, /.../ ponieważ postawił on sobie za cel zjednoczenie katolików całej planety w jednolitą antykomunistyczną siłę. Cel ten wywołany jest nie troską o człowieka, o jego przyszłość, lecz dążeniem do religijnego dyktatu na planecie" /s. 54-55/.

Jak reaguje społeczeństwo ukraińskie na podobną propagandę mogły się dowiedzieć władze sowieckie z przesłanego do wiadomości sekretarza Generalnego KPZR, Listu otwartego do Ojca świętego Jana Pawła II od Grekokatolików z Ukraińskiej SPR, którzy wówczas pisali:

"Czyż zasób informacji dotyczących spraw religii, a przeznaczony zarówno dla władz, jak i społeczeństwa, pochodzi od ateistów; albo ludzi przez nich kierowanych. Oni zaś nigdy nie dają informacji prawdziwych. Po pierwsze dlatego, ponieważ społeczeństwo ukrywa przed nimi i tai swoje prawdziwe przekonania; po drugie zaś dlatego, że ci ludzie boją się sami przynąć do nieefektywności prowadzonej przez siebie ateistycznej propagandy. Taka dezinformacja szkodzi wszystkim. Władze są przekonane, że wystarczy przeprowadzić jeszcze tylko kilka akcji, aby religia znikła zupełnie. A więc od nowa wyszukiwane są i powtarzane argumenty przeciwko wyznawaniu religii, wciąż nowe artykuły publikuje się w gazetach i publikacjach; same o sobie dają one świadectwo, a także to tym, jak niski poziom inteligencji i wyrobienia duchowego reprezentują ci, którzy je piszą..."

W tym kilkustronicowym liście ukraińscy grekokatolicy wyrażają "bezgraniczną wdzięczność" Opatrzności Bożej, która wyniosła na zwierzchnika Kościoła Chrystusowego przedstawiciela słowiańskich narodów, które wiele wycierpiału, dlatego że zna On ich potrzeby i nadzieje. Proszą oni o pomoc w zalegalizowaniu Cerkwi, gdyż, jak piszą: "jesteśmy do tego stopnia przekonani o prawdzie naszej Cerkwi, że porzucenie Jej, odstąpienie od Niej jest dla nas równoznaczne z odstąpieniem od wierności Chrystusowi, a przez to z utraceniem nadziei zbawienia duszy, to zaś jest dla nas straszniejsze od śmierci".

Wielokrotnie podejmowane próby legalizacji Cerkwi Grekokatolickiej na Ukrainie nie dały rezultatów, jedynie nasilały nękania, prze-

śladowania i pomawiania o "współpracę z wrogami narodu". Dowodzą też sygnatariusze listu, iż ukarano nie tyle za domniemaną działalność, ile za wierność Cerkwi Grekokatolickiej, chociażby dlatego, że ludzie, którzy ich opuścili i wyrzekli się swej wiary nie byli karani, chociaż ciążyły na nich winy, natomiast ludzie wierzący o nienagannej przeszłości cierpieli i nadal cierpią.

Proszą też Ukraińcy swojego najwyższego przywódcę duchowego o wstawiennictwo u władz, wierząc, że uda mu się przekonać Kreml co do rzeczywistych intencji i korzyści mogących płynąć z normalnego funkcjonowania Cerkwi Grekokatolickiej, a z "obopólnego porozumienia wyniknąć może jedynie dobro wspólne, zarówno wewnątrz naszego kraju, jak i na arenie międzynarodowej. Ogólna idea i zamysł, zarówno całej naszej wspólnoty wierzących - podkreślają - jak i w ogóle wszystkich myślących ludzi są takie, że jeśli naszym władzom udałoby się w sposób rozumny i sprawiedliwy rozwiązać problem religii w ogóle, przyniosłoby to więcej dobra i pokoju ludzkości, niż wszystkie działania zbrojne i rewolucje razem wzięte...".

W sytuacji, gdy nie mające zaufania do własnego społeczeństwa władze sowieckie boją się przyznać do popełnionych przestępstw, błędów i niesprawiedliwości w obawie, że wywołać to może nowe komplikacje, wstawiennictwo najwyższego przywódcy duchowego w sprawie unitów wydaje się grekokatolikom jedyną szansą, której nie chcą stracić. Dlatego też nie tracąc nadziei piszą: "Wasza Świątobliwość najlepiej potrafi im /władzom/ wyjaśnić, że pięknym i korzystnym dla wszystkich jest także i to wskazanie, że dawne zniewagi mogą być wybaczone raz na zawsze, zaś z przeszłości można wyciągnąć wnioski i nauki, lecz nie muszą one być podstawą sądów...".

Zdając sobie sprawę z tego, jak trudną ale i ważną misję w oczekiwaniu Słowian-Ukraińców ma do spełnienia Papież-Słowianin należy zapytać, jaki stosunek do Ukraińców, a w szczególności do grekokatolików, mają rodacy Papieża w jego ziemskiej ojczyźnie, w Polsce. Czy zrobiono tu wszystko, by tę misję chrześcijańską Papieżowi ułatwić, przynajmniej by jej nie utrudniać?

Polacy coraz bardziej uświadamiają sobie fakt, że od wschodu granicą jednak nie z Rosją lecz z Litwą, Białorusią i Ukrainą. Zaczyna się też dostrzegać, że w Polsce żyją mniejszości narodowe: Litwini, Białorusini, Ukraińcy, a wśród nich unicy, grekokatolicy, odwieczni współmieszkańcy i współobywatele obu Rzeczypospolitych. Od wiedzy społeczeństwa polskiego na temat dotychczasowych losów grekokatolików w powojennej Polsce, od zainteresowania się życiem, od zrozumienia ich problemów, poznania ich pragnień i ewentualnego przyjscia im z pomocą, zależy dalsza egzystencja Cerkwi Grekokatolickiej w Polsce, co nie pozostaje bez znaczenia na rozwój stosunków polsko-ukraińskich.

Jaki jest więc status tej części Grekokatolickiej Cerkwi Ukraińskiej, która pozostała w granicach PRL i ma za sobą swój 40-letni rozdział w jej historii? Jest on inny niż na Ukrainie, a także w Słowacji, w Rumunii czy Jugosławii, gdzie jest odrębna diecezja grekokatolicka z biskupem. Również w Słowacji, Bułgarii, na Węgrzech grekokatolicy zostali zalegalizowani, mają seminaria duchowe, wydawnictwa religijne, własne parafie, cerkwie.

Otóż w wyniku wysiedlenia w roku 1947 Ukraińców z południowo-wschodnich regionów PRL na ziemie zachodnie i północne oraz z powodu aresztowania większości księży grekokatolickich jako "szpiegów Watykanu" /po przekazaniu przez władze polskie do Łagrów sowieckich biskupa przemyskiego Jozyfa Kocyłowskiego i biskupa pomocnika Hryhoriya Łakoty/ przestało praktycznie istnieć, do dziś nieobsadzone biskupstwo grekokatolickie w Przemyślu oraz wszystkie parafie grekokatolickie w PRL. Wszelkie próby życia religijnego przez niezliczonych pozostających na wolności księży grekokatolickich nie były na rękę władzom,



a od połowy lat pięćdziesiątych natrafiały też na opór ze strony hierarchii Kościoła Rzymskokatolickiego, a przede wszystkim na sprzeciw proboszczów łacińskich tych parafii, w których znaleźli się wysiedleni Ukraińcy. Po długotrwałych staraniach, próbach i skargach wysyłanych także do Watykanu, działalność grekokatolickich wiernych i księży /szczególnie zasłużonych w tej sprawie ks.Mitrata Wasyla Hrynyka, ks.Ripeckiego/ zaczęła owocować. W połowie 50-tych lat Prymas Polski choć nie wyraził zgody na zakładanie czy odtwarzanie parafii grekokatolickich, to jednak w ramach kompromisu wydał dekret pozwalający księżom grekokatolickim zakładać wspólnoty, tj. ośrodki duszpasterskie, co było jednak możliwe do zrealizowania tylko tam, gdzie księża rzymskokatolicy /raz w tygodniu na czas trwania nabożeństwa/ zgodzili się wypożyczyć swoje świątynie grekokatolickim braciom w Chrystusie.

Dekret Prymasa, dający prawo organizowania wspólnot grekokatolickich jest jednak w sposób bardzo dowolny interpretowany przez poszczególne biskupów oraz proboszczów rzymskokatolickich, którzy odmowę na wypożyczenie swej rzymskokatolickiej świątyni motywują nierzadko tym, iż w Kościele rzymskokatolickim można się modlić po polsku, ewentualnie po łacinie, ale nie po ukraińsku.

W ten sposób do niedawna autonomiczna Cerkiew Grekokatolicka będąca w unii ze Stolicą Apostolską, a nie z Kościołem Rzymskokatolickim w Polsce, Cerkiew, która posiadała własną hierarchię włącznie z biskupami i metropolitą, stała się uciążliwą przybudówką Kościoła w Polsce, bez własnego seminarium dla duchownych, bez jakiegokolwiek pisma, możliwości wydawania literatury religijnej, bez swych domów katechetycznych, parafii oraz bez własnych cerkwi z wystrojem wewnątrz spełniającym wymogi liturgii bizantyńsko-ruskiej.

Wciąż nie dały żadnych rezultatów starania grekokatolików o reaktywowanie w Przemyślu biskupstwa, a przynajmniej o udostępnienie tamtejszym wiernym na czas nabożeństw katedry grekokatolickiej, użytkowanej przez katolików. W diecezjach przemyskiej i tarnowskiej mają grekokatolicy największe trudności z wypożyczeniem świątyń w ogóle, a w szczególności znajdujących się w posiadaniu proboszczów rzymskokatolickich cerkwi, wybudowanych przez grekokatolików, które to cerkwie gdzieś niegdzie się jeszcze ostały, choć często już bez ikonostasu, ikon czy trójramiennych krzyży. Te wyraźne przejawy trwającego od 1947 roku świadomego rugowania oznak funkcjonowania na tych terenach Cerkwi Grekokatolickiej jako autonomicznej struktury w Kościele powszechnym stały się szczególnie widoczne w ostatnich latach. Wystarczy tu przytoczyć takie fakty, jak: rozebranie w latach siedemdziesiątych ikonostasu w grekokatolickiej katedrze w Przemyślu; rozebranie zabytkowej cerkwi drewnianej w roku 1980 w Lutowiskach, z której materiału wybudowano kościółek w Dwrniku; wysadzenie w roku 1983 w powietrze zabytkowej cerkwi w Klimkówce, z której cegłę użyto do wybudowania podstylizowanego kościoła w Pniakach; odpiłowanie w roku 1974 "zbędnych" dwu ramion krzyży na odremontowanej przez Łemków, a przejętej siłą przez katolików cerkwi w Polanach, gdzie do byłych grekokatolików przyjeżdża ksiądz prawosławny i pod płotem koło ich cerkwi odprawia nabożeństwo **każdej niedzieli**.

Jeżeli w kilku zupełnych pojedynczych miejscowościach proboszcz rzymskokatolicki wypożycza grekokatolikom wybudowaną przez ich ojców cerkiew, to dlatego, że zaistniało zagrożenie przejęcia jej przez księdza prawosławnego, którego zrozpaczeni grekokatolicy sprowadzają dla ratowania swych ojczystych tradycji religijnych. Tam, gdzie nie udało się grekokatolikom odzyskać swej cerkwi dla nowego duchownego prawosławnego /udało się dokonać tego np. w Morochowie k.Sanoka czy w Przemyślu, gdzie reaktywowano nieistniejące tam od 300 lat biskupstwo prawosławne/, tam byli grekokatolicy ze swym nowym księdzem prawosławnym budują drugą cerkiew, jak np. w Gładyczowie, Krynicy itd.

Przyczynę takiego stanu rzeczy należy upatrywać w braku jakiegokolwiek statusu prawnego dla unitów. Po zlikwidowaniu hierarchii grekokatolickiej w Polsce jurysdykcję personalną nad całą Cerkwią sprawuje Prymas Polski, który odmówił pomocy delegacji grekokatolików w staraniach o zalegalizowanie Cerkwi, przypomniał w listopadzie 1980 r. "To co macie, macie z mojej łaski" /por. "Glaube in der Zweite Welt" 1982 Zurych/. Los więc grekokatolików w Polsce zależy praktycznie od dobrej woli ordynariuszy, proboszczy rzymskokatolickich, z jaką nie bywa najlepiej zarówno z powodu nieświadomości kleru, jak i uprzedzeń i pretensji do Ukraińców. Sytuacja grekokatolików uległaby poprawie, gdyby ich Cerkiew otrzymała osobowość prawną. Wiązałoby się to ze zwrotem kilku cerkwi używanych przez rzymskokatolików w tych /zupełnie nielicznych po wysiedleniu/ miejscowościach, gdzie żyją grekokatolicy. Wówczas obecni gospodarze tych cerkwi ataliby się co najwyżej współgospodarzami zajmowanych świątyń, co nie jest na rękę proboszczom łacińskim, dlatego też episkopat Polski, od którego woli w pierwszym rzędzie zależy sprawa zalegalizowania Cerkwi Grekokatolickiej w Polsce, nie jest zainteresowany, by wystąpić do odpowiednich władz z propozycją prawnego reaktywowania całej instytucji Cerkwi Grekokatolickiej.

Oprócz tego podlegli jurysdykcji Prymasa Polski grekokatolicy księży i wierni nie posiadają nigdzie własnego przedstawicielstwa, nie mają możliwości protestowania, gdy obrażane są ich uczucia religijne, np. poprzez wyświetlanie świadomie w wigilię ich Bożego Narodzenia filmu "Ogniomistrz Kaleń" czy publikowanie kłamliwych i oszczerczych artykułów o jednym z najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła powszechnego Metropolicie Andrzeju Szeptyckim, którego proces beatyfikacyjny jest w toku. Obrona Sługi Bożego Andrzeja /w sytuacji, gdy Episkopat Polski nie zajął w tej sprawie żadnego stanowiska/ staje się dla grekokatolików niemożliwym obecnie do zmanifestowania obowiązkiem moralnym i wyrzutem sumienia.

Za pretekst do oszczerstw skierowanych przeciw Metropolicie Szeptyckiemu posłużyło przedrukowanie w "Tygodniku Powszechnym" /1984 Nr 38, 9.IX./ "Wspomnień o bracie Albercie" wydanych w 1930 roku, a więc gdy ich 65-letni autor od 30-tu lat pełnił godność Metropolity Lwowskiego Obrządku Grekokatolickiego. Tylko zupełna ignorancja, antyukraińska fobia i brak wszelkiej logiki argumentacji mógł doprowadzić dziennikarza "Trybuny Ludu" /1984 Nr 220, 13.IX./ do wniosku uogólniającego, iż Metropolita Szeptycki "w najnowszej historii politycznej Polski zapisał się jak najgorzej. Choć był wnukiem Aleksandra Fredry i bratem polskiego generała Stanisława Szeptyckiego, metropolita, z jak najbardziej uzasadnionych przyczyn uznawano zaczołowego rzecznika skrajnego ukraińskiego szowinizmu i nacjonalizmu o antykomunistycznym i antypolskim obliczu... Wróg narodu polskiego i ukraińskiego, hitlerowski sługa - kim by nie był - nie jest godny ani pamięci, ani przypomnienia".

W kontekście przytoczonych wcześniej faktów i danych źródłowych podobny sąd o Metropolicie Szeptyckim świadczy tylko o autorze tej opinii i "trybunie" służącej do wygłaszania takich sądów, przedrukowywanych przez regionalne gazety partyjne i podanych w TV. Zresztą dziennikarzowi nie chodziło o wydanie wyważonego czy bardziej uzasadnionego sądu o Szeptyckim, gdyż nie jego postać była celem i przedmiotem bezpośredniego ataku, ale "Tygodnik Powszechny". Zaś odpowiedź na pytanie: jak mogło dojść do spreparowania aż tak prymitywnego sęku kłamstw i rozpropagowania ich przez masowe środki propagandy zawarta jest po części w jedynym możliwym do przyjęcia zdaniu tej instrumentalnej publikacji "Trybuny", które dotyczy także samego dziennikarza gazety, a mianowicie, że "dorastającym lub urodzonym po drugiej wojnie światowej czytelnikom "Wspomnień o bracie Albercie" nazwisko Szeptyckiego nie kojarzy się z niczym!"

Nic nie wiedzący o Szeptyckim autor dla uzasadnienia swej tezy sięgnął po dane do trudno dostępnej książki "Droga donikąd", misternie je pozniekształcał, wykorzystując przy tym "fakty" i poetykę źródeł sowieckich, a następnie poinformował całe społeczeństwo o tym, kim był wnuk Fredry i wróg "narodu polskiego i ukraińskiego". Za jego przykładem poszedł inny "nie doceniany" dotąd najważniejszy oficjalny specjalista od Metropolity Szeptyckiego - Edward Prus /por. "Trybuna Ludu" 1984 Nr 227 i "Przegląd Tygodniowy" 1984 Nr 48/, dla którego podstawowym źródłem informacji jest wciąż przez niego cytowana książka S.T. Danyłenki "Drogą hańby i zdrady" poświęcona między innymi Metropolice Szeptyckiemu i Kardynałowi Józefowi Slipemu, w której Cerkiew Grekokatolicka jest traktowana wyłącznie jako "agencja faszyzmu i Watykanu", a wszystkie argumenty zmierzają do uzasadnienia zawartego w ostatnim rozdziale wywodu, jaki nosi tytuł "Koniec unii brzeskiej".

Jak widać, materiały antyunistycznej propagandy sowieckiej, zdemaskowane i zdyskredytowane przez wiernych grekokatolików z Ukrainy w liście otwartym do papieża, posłużyły jako źródło do nowej antyukraińskiej propagandy w Polsce. W wyniku tej propagandy cenzura zakazała wydawnictwom katolickim w Polsce /głównie "Tygodnik Powszechny" i "Znak"/ publikowania wazelskich materiałów o Metropolice Szeptyckim oraz wstrzymała druk wielu artykułów o tematyce ukraińskiej.

Trafną diagnozę przyczyn takiego a nie innego rozwoju stosunków polsko-ukraińskich w Polsce stawia autorka zamieszczonego w paryskiej "Kulturze" artykułu p.t. "Sytuacja Ukraińców w PRL", który raz jeszcze potwierdza słuszność wybranej przez "Kulturę" drogi, jakiej przyświeca wypowiedziana podczas wykładów w Paryżu myśl Adama Mickiewicza, iż "Kto myśli o interesach jednego tylko narodu, jest nieprzyjacielem wolności".

Pani Zofia S. jest zdania, iż kilkaset tysięcy Ukraińców w Polsce nie stanowi zagrożenia dla totalitarnej władzy, ale dyskryminacja mniejszości wzrasta, choć nie wymaga tego polska racja stanu: "Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest niewątpliwie zależność władzy od Moskwy. Oczywiście, że Moskwie zależy na tym, aby w bezpośrednim sąsiedztwie Ukrainy, która jest obiektem nieubłaganej rusyfikacji, nie rozwijał się żaden niezależny ruch ukraiński. Wykonywanie moskiewskich poleceń przez polski aparat wojskowo-partyjno-administracyjny nie nastręcza trudności. Istniejąca po dzień dzień wśród dużej części społeczeństwa polskiego niechęć do Ukraińców, wynikająca z dawnych waśni i intensywnie podsycana przez reżimową propagandę w całym powojennym okresie ułatwia wykonywanie tych poleceń. Nietrudno więc zrozumieć, że na wszechkich szczeblach aparatu znajdują się gorliwi wykonawcy życzeń Moskwy. Są oni przekonani, że nie pozwalając Ukraińcom "podnieść głowy" działają dla dobra Polaków" /"Kultura" 1984/6/.

Nie są więc oni w stanie zrozumieć tego, że to właśnie córka Aleksandra Fredry, Polaka, która wyszła za mąż za Ukraińcą Szeptyckim, przekonała swego syna Andrzeja Romana, by poświęcił się sprawie Ukrainy, gdyż wówczas najbardziej pomoże jej ojczyźnie - Polsce.

P.L.

\*) Na książce Danyłenki wzorowana jest także książka Edwarda Prusa "Władcyka Świętojurski" wydana w br. przez Instytut Wydawniczy Związków Zawodowych - red.

# Władza i pryncypia w amerykańskiej polityce zagranicznej

Głównym problemem, przed jakim stoimy kształtując naszą politykę zagraniczną, jest trudność powiązania wierności pryncypiom z realistyczną oceną znaczenia oraz centralizacji władzy amerykańskiej na świecie. Nasze przemyślenia dotyczące wydarzeń światowych, w które Ameryka poważniej się zaangażowała mniej więcej od czasów Wilsona, oscylują pomiędzy idealistycznym postrzeganiem porządku świata, jaki ma jeszcze być kształtowany, z okresową tendencją w kierunku fascynacji Realpolitik.

- Zbigniew Brzeziński, wystąpienie w Georgetown University, 23 kwietnia 1981.

Świat nasz staje się coraz bardziej niespokojny. Czynniki, które pogłębiają stan niestabilności międzynarodowej zyskują historyczną już przewagę nad siłami dążącymi do bardziej zorganizowanej współpracy. Nieuniknionym wnioskiem powierzchownej choćby analizy światowych trendów jest prawdopodobieństwo, że wrzawa społeczna, niepokój polityczny, kryzysy ekonomiczne oraz napięcia międzynarodowe będą miały coraz większy zasięg u schyłku naszego stulecia. W związku z tym, jeszcze ważniejszym i trudniejszym do osiągnięcia jest utrzymanie stałych stosunków amerykańsko-sowieckich. Jest bardzo prawdopodobne, że sowiecka siła militarna będzie wzrastać, podczas gdy napięcia wewnętrzne, zarówno w systemie jak i bloku sowieckim, zaostrzą się. Istnieją wszelkie przyczyny po temu by wierzyć, że bez większych strukturalnych zmian system sowiecki będzie niezdolny do poradzenia sobie z problemami nowoczesności, że jego zbiurokratyzowana struktura będzie nadal hamować twórczość i że wymuszone utrzymywanie takiego systemu we Wschodniej Europie wywoła rosnące oburzenie. Sprzeczność pomiędzy mizernymi osiągnięciami wewnątrz systemu sowieckiego i wzrostem zewnętrznych możliwości militarnych może wytworzyć jeszcze trudniejszy do przewidzenia model sowieckiego postępowania. W czasach światowego niepokoju niekonsekwentny oportunizm mocarstwa stanowić będzie rosnące zagrożenie dla pokoju międzynarodowego.

Co więcej, w nadchodzących latach konflikty regionalne, nie dotyczące wielkich potęg, mogą stać się większym zagrożeniem. Międzynarodowe próby zahamowania konfliktów regionalnych przestały być skutecznymi już pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Ze względu na osłabienie władzy amerykańskiej coraz trudniej jest szybko położyć kres lokalnym konfliktom. Możliwe, że ich trwałość oraz wzrastająca częstotliwość zahamuje rozwój przede wszystkim amerykańskich interesów, gdyż społeczeństwo amerykańskie potrzebuje, o wiele bardziej niż system sowiecki, międzynarodowej stabilizacji, jaka sprzyjałaby jego interesom i wartościom. Przeciwnie, przywódcy sowieccy uważają, że prymitywna, lokalnie miażdżąca przemoc generalnie ułatwia rozprzestrzenianie się sowieckich wpływów. Właśnie teraz mamy do czynienia z takim przypadkiem, ponieważ kres nuklearnej przewagi Amerykanów oznacza, że Sowietci mają mniej powodów aby obawiać się, iż Stany Zjednoczone mogłyby zachować się w konfliktach lokalnych w sposób stanowczy i nie znoszący sprzeciwu /jak to już miało miejsce w kryzysie kubańskim/. Oczywiście, w tym zawiera się ogromne ryzyko przeprowadzenia błędnej kalkulacji i jest to ważny element wzmożonego zagrożenia dla rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Mówiąc ogólniej, problemy demograficzne i niepokojące politycznie wzniecają, szczególnie w krajach Trzeciego Świata, rosnące niezadowolenie i gwałtowne rozruchy. Wiele, a może większość z nich, będzie mieć charakter wewnętrzny, jednak w sposób nieunikniony doprowadzi to do wzrostu napięcia i większej deformacji ładu międzynarodowego. Do końca naszego stulecia liczba ludności świata wzrośnie z 4 do 6 miliardów. Co więcej, największy przyrost będzie skoncentrowany w biedniejszych częściach świata. 85% światowej populacji żyć będzie w Afryce, Ameryce Łacińskiej oraz biedniejszych częściach Azji. Ta dramatyczna zmiana demograficznego charakteru świata jest obarczona politycznymi konsekwencjami. Najlepiej zilustruje ją poniższa tabela, obejmująca najgęściej zaludnione kraje świata w roku 1900 i w końcu roku 2000.

1900 /w milionach		2000 /w milionach	
1. Chiny	440	Chiny	1.165
2. Indie /niepodległe/	285	Indie	1.080
3. Rosja	132	Związek Radziecki	306
4. Stany Zjednoczone	76	Stany Zjednoczone	265
5. Niemcy	56	Indonezja	255
6. Austro-Węgry	45	Brazylia	215
7. Japonia	44	Pakistan	155
8. Zjednoczone Królestwo	41	Bangladesz	145
9. Francja	40	Nigeria	135
10. Indonezja /podległa/	35	Japonia	135
11. Włochy	33	Meksyk	135
12. Imperium Otomańskie	30	Filipiny	95

Prawdopodobnie większość z wymienionych krajów Trzeciego Świata będzie nadal cierpieć z powodu słabo rozwiniętej gospodarki oraz nieudolnego zarządzania, podczas gdy coraz lepiej umiające pisać, politycznie rozbudzone lecz zburzone masy będą coraz bardziej wrażliwe na demagogiczną mobilizację ze strony ruchów politycznych.

W dodatku jest już prawie pewne, że coraz więcej państw Trzeciego Świata będzie posiadać broń nuklearną i bardzo prawdopodobnym jest to, że niektóre z nich zastosują ją w przebiegu konfliktu. Również grupy terrorystyczne mogą już wkrótce usiłować walczyć o swoją sprawę przy pomocy groźby nuklearnej, albo poprzez kradzież takiej broni, albo poprzez tajną jej produkcję. W każdym razie, prawdopodobieństwo, że broń nuklearna zostanie użyta w gniewie, staje się złowieszczą wysokie.

Co gorsze, nie jest rzeczą pewną, czy niektóre rozwinięte przemysłowo demokracje pokonają swoje wewnętrzne trudności społeczno-ekonomiczne, zainicjowane przez rewolucję cen energii. Dyslokacje spowodowane przez ten wstrząs - sam w sobie symptom politycznej redystrybucji siły, jaką obserwować można w naszych czasach - będą nadal mieć miejsce w krajach rozwiniętych gospodarczo. Rezultatem tego jest zwolnienie tempa ekonomicznych osiągnięć uprzemysłowionego Zachodu. Ma to swój udział nie tylko w globalnej recesji, ale i zaostrza napięcia pomiędzy rozwiniętymi gospodarkami przemysłowymi. Jednym z symptomów tego trendu jest zwiększenie krajowego poparcia dla środków protekcjonistycznych, co w konsekwencji osłabia polityczną jedność i solidarność najbardziej rozwiniętego i demokratycznego sektora światowej społeczności. Choć możliwe jest, że Związek Radziecki wykorzysta wszystkie te trudności, niebezpieczeństwem, przed jakim stoi świat nie jest, przynajmniej w najbliższym czasie, całkowita dominacja Związku Radzieckiego. ZSRR po prostu brakuje zdolności koniecznych do narzucenia światu swojej woli, w sposób choćby dalece przypominający prymat Stanów Zjednoczonych w czasie "Pax Americana" w latach pięćdziesiątych. Ta dominacja zależała nie tylko od militarnej przewagi Ameryki, wywodziła się również z jej politycznego, kulturowego, a nawet ideo-

logicznego orukru. Związek Radziecki nie jest konkurencją w żadnej z tych dziedzin, a sama siła militarna nie wystarczy, aby narzucić niepokojnemu światu "Pax Sovietica". Siła sowiecka, używana w sposób krótkowzroczny i dogmatyczny, może jednak zmoczyć światowy niepokój, może również stymulować rozpad światowego ładu. Krótko mówiąc, groźbą, przed jaką staje ludzkość, jest nie sowiecka hegemonia, lecz światowa anarchia.

W miarę, jak świat staje się coraz bardziej niespokojny i niechętny amerykańskim interesom, problemy Waszyngtonu dotyczące zapewnienia nerodowego bezpieczeństwa będą coraz bardziej złożone, będą się także zacieśniać. Jednocześnie dopuszczalny czas reakcji na kryzysy zewnętrzne skurczy się ze względu na rozwój komunikacji oraz technologii broni. Wreszcie, nasze trudności będą wykazywać bardzo złożony charakter na skutek coraz ściślejszego bezpośredniego związku między sprawami wewnętrznymi i zewnętrznymi naszego narodu.

W latach siedemdziesiątych Stany Zjednoczone zmagają się z poważnymi i kłopotliwymi problemami wykazującymi bliskie powiązania pomiędzy historyczno-kulturowymi, polityczno-militarnymi oraz społeczno-ekonomicznymi czynnikami: efekty nałożenia przez OPEC embargo na ropę na Środkowym Wschodzie każdy Amerykanin odczuł bardzo boleśnie; nigdy wcześniej, w czasach pokoju, nie doświadczaliśmy takiego wstrząsu. Punktem kulminacyjnym wskrzeszenia w całym rejonie fundamentalistycznego Islamu był upadek Szacha oraz konwulsje szyickiego Iranu. Stworzyło to stałe zagrożenie dla naszych interesów w regionie, od którego zależy pomyślność całego Zachodu. W Ameryce Środkowej, gdzie ludowcy żądają reformy rolnej i dalszych zmian społecznych, ponownie ujawniliśmy brak jedności do naszej reakcji. Te problemy polityki zagranicznej są nowe i odmienne od tych, jakimi charakteryzowały się poprzednie dziesięciolecia.

Odpowiednia historycznie reakcja wymagać będzie długotrwałego wysiłku narodu, wysoce sprecyzowanej polityki narodowej i efektywnie scentralizowanego procesu podejmowania decyzji. Określiwszy naturę naszego systemu politycznego, każdy wysiłek przyjęcia znaczącej orientacji będzie musiał zaistnieć wraz z Prezydentem. On sam może mobilizować wolę narodu oraz uczulić kraj na dylematy i wymagania nowej sytuacji. Logicznie wynika z tego, że inicjacja i koordynacja obranego kursu, jak również kształtowanie szerszej strategii, musi być koordynowane przez jednostkę blisko i w sposób bezpośredni związaną z samym Prezydentem. Nawet aktywny Prezydent, głęboko zainteresowany sprawami zagranicznymi, z racji ogromnej ilości czasu, jaką pochłaniają mu sprawy krajowe, potrzebuje kogoś, kto działałby jako jego doradca, jego oczy i uszy i jego biurokratyczny koordynator. Prezydent osobiście nie ma czasu na integrację kluczowych departamentów, w szczególności Departamentu Stanu i Obrony. Perspektywy i priorytety tych dwóch departamentów są tak od siebie odległe, że koordynowanie ich jest pełno-etatowym zadaniem. Może ono być wykonane tylko wtedy, gdy wiadomo, że jednostka, której zostało przydzielone, cieszy się osobistym zaufaniem Prezydenta i potrafi przemawiać autorytatywnie w jego imieniu.

Jednakże, napięcia między konkurującymi ze sobą jednostkami a biurokracją są, w każdym systemie, nieuniknione. Nieuchronne jest również czerpanie przez prasę, w społeczeństwie demokratycznym, korzyści z opisywania, i to w sposób przesadny, tego typu konkurencji. Dlatego po prostu niemożliwe jest i dużą naiwnością byłoby wierzyć w to, że uda się stworzyć system, w którym nie byłoby rywalizacji w procesie podejmowania decyzji, czy też jakiegokolwiek publicznej plotki na temat takiej rywalizacji. Gdy Prezydent miał dominujący głos w sprawach dotyczących wydarzeń zagranicznych, oś konfliktu przebiegała między Ministrem /Asystentem d/s bezpieczeństwa - National Security Assistant/ i Sekretarzem Stanu, gdy dominował Sekretarz Stsnu - konflikt umiejscowiony był pomiędzy nim a Ministrem Obrony /the Secretary of Defence/. Ci, którzy ostatnimi czasy zajmują się rywalizacją między Kissingerem a Sekretarzem Rogersem, albo między mną i Sekre-

tarzem Vanceem łatwo zapominają, że w ubiegłych latach miały miejsce poważne konflikty między Sekretarzem Stanu Kissingerem i Ministrem Obrony Schlesingerem, jak również pomiędzy ich poprzednikami.

Niezależnie od wyboru konfiguracji, "ministerialnej" czy "prezydentalnej", w najbliższych latach Prezydent będzie potrzebował lepiej przemyślanego mechanizmu do planowania bezpieczeństwa narodowego. Obecnie taki organ w rządzie amerykańskim nie istnieje. Każdy departament planuje na własną rękę, pod kątem, pod siłą, w wąskiej perspektywie, jaka przed nim stoi. W pewnym stopniu, szczególnie podczas pierwszego roku mojego pobytu w Białym Domu, usiłowałem wykorzystać Radę Bezpieczeństwa Narodowego /NSC/ jako "zbiornik pomysłów" dla Prezydenta i często wspominałem o niej jako takiej. Przygotowywałem podstawowe wytyczne dla Carterowskiej polityki zagranicznej i generalnie biorąc Administracja postępowała zgodnie z nimi. Z mojego punktu widzenia jakikolwiek system podejmowania decyzji przyjąłby przyszły Prezydent, potrzebna będzie instytucja, w której w sposób zintegrowany mogłyby być formułowane perspektywiczne, państwowe plany strategiczne i dyplomatyczne. Ważne jest, aby takie ciało było organem interagencyjnym, spajającym wiele dziedzic, łącznie z gospodarką międzynarodową. Równie ważne jest, aby u progu rozpoczęcia działalności nowej Administracji Prezydent został osobiście zaangażowany we wszechstronny przegląd naszych strategiczno-geopolitycznych priorytetów.

W przeszłości, zgodnie z ówczesną tendencją, na czele agencji zajmujących się planowaniem stały osoby, które przestały mieć cokolwiek wspólnego z polityką. Moje własne doświadczenie nakazuje mi uważać, że ten, kto odpowiedzialny jest za długofalowe planowanie zgodne z decyzjami Prezydenta, musi być taktykiem mocno zaangażowanym w codzienne wydarzenia. W przeciwnym razie "planowanie" staje się odległym i nieodpowiednim ćwiczeniem. Wobec tego, w zależności od systemu jaki będzie wolał Prezydent, albo Doradca d/s Bezpieczeństwa /the Assistant /Director/ for National Security Affairs/, albo Sekretarz Stanu powinien utworzyć małą grupę wewnątrzagencyjną, w skład której wchodziłby starsi urzędnicy z innych departamentów, w celu sformułowania oraz powtórnej oceny długotrwałych narodowych priorytetów w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Oczywiście, nikt nie może działać mechanicznie, a nasza ogólnościowa i wielce burzliwa rzeczywistość nie zezwala na luksus prowadzenia polityki zagranicznej opartej całkowicie na planach wymarzonej przez grupkę doradców. Tym niemniej bez takiego celowego wysiłku ustalenia priorytetów, zdefiniowania koordynacji, ponownego przebadania trendów historycznych, prawdopodobne jest, że nasza polityka zagraniczna mał kształtowa świat naokoło nas będzie raczej coraz bardziej elastyczna, reagująca na wyzwania i kryzysy.

Aby rozwiązać problem przetrwania na tym burzliwym świecie, źródłem polityki amerykańskiej musi być wydajna i skuteczna struktura organizacyjna. Będzie też trzeba podjąć długotrwały i wyczerpujący wysiłek ukształtowania szerszych ram dla ogólnościowej kooperacji. Taka struktura jest potrzebna do zastąpienia eurocentrycznego porządku świata, jaki zawalił się w czasie dwóch wojen światowych oraz podczas Wielkiego Kryzysu. Jego miejsce było na krótko zajęte przez "Pax Americana" trwający około piętnastu lat, po czym nastąpił niełatwy okres niemal faktycznych zależności, który powstrzymał światową przemoc. Układ ten przechodzi załamanie i w żadnym wypadku nie mógł on przetrwać z powodu kolidujących ze sobą aspiracji filozoficznych i narodowych. Istotnym problemem nadchodzącej epoki jest to, czy świat będzie posuwał się niezdecydowanie w kierunku szerszej kooperacji, czy pogrąży się w destrukcyjnym chaosie.

Stany Zjednoczone muszą być aktywnie zaangażowane aby doprowadzić do szybszego ogólnościowego postępu. Bez Stanów Zjednoczonych nie ma na świecie siły zdolnej stymulować i podtrzymywać poważny wysiłek umacniania prawdziwej współpracy międzynarodowej. A to z kolei ozna-

cza kształtowanie i postępowanie według kursu wyznaczonego przez historycznie moralnie zdrową orientację oraz popartego przez wiarygodną i odpowiednio stosowaną władzę amerykańską. Ameryka bierna na arenie międzynarodowej będzie po prostu miała swój wkład w większą anarchię ogólnoswiatową. Ameryka moralnie obojętna ryzykuje wzrastającą izolację. Nie ma ucieczki przed potrzebą aktywnej, szeroko zakreślonej amerykańskiej polityki zagranicznej, borykającej się z problemami właściwymi pojawieniu się zdekolonizowanego i politycznie bardzo rozbudzonego świata. Jednocześnie, właśnie z powodu względnego osłabienia władzy amerykańskiej, tym bardziej konieczna jest ścisła współpraca Ameryki z jej kluczowymi przyjaciółmi, pomimo politycznie pociągających wewnątrz nacisków faworyzujących protekcjonizm i unilateralizm. Do odrzucenia takich nacisków z zachowania zaangażowania Ameryki w koncepcje kolektywnego bezpieczeństwa i międzynarodowej współpracy potrzebne będzie silne przewodnictwo Prezydenta.

Pierwsze dwa lata Administracji Reagana były kłopotliwe pod tym względem. Uważa się, że Stany Zjednoczone są ukierunkowane do wewnętrznych. Widziane są jako coraz bardziej obojętne na nędzę Trzeciego Świata i niezainteresowane prawami człowieka. Okazało się, że sam Prezydent skoncentrował się na sprawach krajowych, a jego proces podejmowania decyzji nie wydawał się pasować ani do systemu "prezydenckiego" /kontrola Białego Domu/, ani do systemu "ministerialnego" /kierownictwo Sekretarza Stanu/. Jego doradcy d/s krajowych widzieli go jako udaremniający pracę Sekretarza Stanu, podczas gdy dwaj inni uczestnicy tego procesu, Minister Obrony i Doradca d/s Bezpieczeństwa /the National Security Adviser/, nie mieli większego rozeznanie w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych stawała się coraz bardziej niespójna, w rezultacie czego tempo procesu pokojowego na Środkowym Wschodzie wyraźnie zmalało, a wpływy amerykańskie w tym rejonie widocznie spadły. Trzeci Świat widział Amerykę jako obojętną, czy nawet wrogą. Na poziomie strategii, rozwinięcie systemu raketowego MX - tak konieczne do zmniejszenia "obszaru słabości" - zostało mocno opóźnione z przyczyn całkowicie politycznych /po to aby nie obrazić wyborców stanu Utah i Nevada/, podczas gdy proces nawiązania stosunków strategicznych z Chinami został niemalże zatrzymany.

W nadchodzących latach bez szerszej trójstronnej współpracy będzie także coraz trudniej pohamować konflikty regionalne. Najprawdopodobniej konflikt na Środkowym Wschodzie stanowić będzie największe zagrożenie dla żywotnych interesów Stanów Zjednoczonych. Konflikty irańsko-arabskie nad Zatoką Perską, rosnące sowieckie zagrożenie w tym rejonie i radykalizujące, jak również destabilizujące konsekwencje izraelsko-arabskiej dysputy postawią postawią amerykańskich taktyków przed wysoce złożonymi i trudnymi dylematami. Stany Zjednoczone będą musiały zająć czynną postawę w dążeniach do osiągnięcia zgody arabsko-izraelskiej, ponieważ bez stanowczego zaangażowania się Ameryki w tę sprawę nie będzie żadnego postępu. Nasza polityka wobec sporu irańsko-izraelskiego, jak również bezpieczeństwa w Zatoce Perskiej, musi także pasować do szerszego spojrzenia, gdzie wspólny wkład świata zachodniego pobudza także wspólnie prowadzoną politykę, bardziej czynnie popieraną przez europejskich i japońskich przyjaciół. Prawdopodobne jest, że w takim szerszym ujęciu nakłonimy do konkretniejszych reakcji bardziej umiarkowane kraje arabskie, nie wycofując się z tradycyjnych amerykańskich zobowiązań gwarantujących bezpieczeństwo Izraela.

Prezydent będzie musiał osobiście zaangażować się w działalność pokojową na Środkowym Wschodzie. Podczas mojej czteroletniej obecności w Białym Domu największe wrażenie wywarł na mnie fakt, że w tej kwestii nie istnieje nic takiego jak delegacja władzy. Mamy nie tylko mnóstwo psychologicznych i historycznych kompleksów do przewyciężenia, jest to problem tak wewnętrznie drażliwy w samych Stanach Zjed-



noczonych, że Prezydent musi zajmować się rozpraszaniem wątpliwości partii i badaniem koniecznych inicjatyw. Bez udziału Cartera w procesie w Camp David nie byłoby izraelsko-egipskiego traktatu pokojowego. Bez bezpośredniego i autentycznego uczestnictwa Prezydenta nie do- szłoby do zakończenia zawziętej dysputy dotyczącej Arabskiego Banku Zachodniego i strefy Gazy.

W pogoni za postępem i ostatecznym osiągnięciem pokoju na Środkowym Wschodzie działanie Prezydenta może być najskuteczniejsze w pierwszej fazie prezydentury. W trzecim i czwartym roku każdy Prezydent zostaje usidiony w sieci wysiłków wyborczych i jego polityka zagraniczna staje się coraz bardziej obca interesom polityki wewnętrznej. Oznacza to, że tym nadzwyczaj trudnym i drażliwym problemem środkowowschodnim Prezydent powinien zająć się tak szybko, aby mieć czas zademonstrować swoim wyborcom efekty swoich wysiłków. W dążeniu do takiego pokoju cele amerykańskie mogą być większe od faktycznych możliwości. Jednym z paradoksów wczesnych wysiłków Cartera w celu doprowadzenia do wszechstronnego porozumienia na Środkowym Wschodzie było to, że stały się one pobudką zarówno dla Izraelczyków, jak i Egipcjan do osiągnięcia bardziej ograniczonej ugody, co było możliwe dzięki jego późniejszemu staraniu.

Rola Ameryki w kształtowaniu stosunków Północ-Południe także będzie ogromna. Ostatnimi czasy Ameryka nie nadąza za innymi rozwiniętymi demokracjami z rozpoznawaniem bezwarunkowej moralnej i politycznej potrzeby sprzyjania sprawiedliwшему porządkowi świata. Jednak tym, co obserwujemy dziś na światową skalę, jest kopiowanie wewnętrznych doświadczeń amerykańskich w rozwiązywaniu dylematów rasowych. Upřednio wyłączone część ludzkości zaczyna aktywniej uczestniczyć w światowych procesach politycznych i wypada by Ameryka sprzyjała stopniowej redystrybucji istniejących sił politycznych i ekonomicznych, by wzięta pod uwagę nowe realia. Zciążąc to należy być ostrożnym i nie podpisywać się pod takimi sloganami, jak nowy międzynarodowy porządek ekonomiczny /NIEO/, który implikuje, że zasadnicze zmiany mogą być dokonane przez konkretne unormowania prawne. Kształtowanie szerszej struktury współpracy będzie długim i opłaczalnym procesem, w związku z czym ważne jest, aby Stany Zjednoczone nie były traktowane przez Trzeci Świat jako państwo obojętne czy nawet wrogie jego aspiracjom.

W nadchodzących latach najambitniejszym i wymagającym wiele wysiłku elementem amerykańskiej polityki zagranicznej będzie zapobieganie sowieckiej eksploatacji świata z jednoczesnym prowokowaniem zmian rozwojowych wewnątrz sowieckiej orbity. W ten sposób stosunki amerykańsko-sowieckie będą nadal mieszanią elementów współzawodnictwa i współpracy, z przewagą tych poprzednich. Jest mało prawdopodobne, aby rywalizacja pomiędzy dwoma największymi potęgami świata wygasła u schyłku naszego stulecia; można to umotywić wieloma historycznymi, filozoficznymi czy nawet psychologicznymi impulsami. Ale rywalizacja ta może i powinna być podtrzymywana, kontrolowana i ochładzana. Ostrożnym sterowaniem można ją ukierunkować na rosnący kompromis w sprawach takich jak kontrola zbrojeń i ograniczenia regionalne, podczas gdy rozwój współpracy może bardzo powoli zachęcać do wewnętrznych zmian w samej sowieckiej orbicie. Jednak bardziej prawdopodobne jest, że takie zmiany rozwojowe pojawią się najpierw we Wschodniej Europie, a Zachód powinien trwać w swoich wysiłkach zacieśnienia związków między Wschodnią i Zachodnią Europą.

Wykształcone warstwy społeczeństwa rosyjskiego zawsze zdawały sobie sprawę z przepaści dzielącej rosyjską cywilizację od zachodniej. W roku 1829 Piotr Czaadajew pisał: "Jesteśmy jednym z tych narodów, które nie są integralną częścią rasy ludzką, lecz istnieją tylko po to, by dać światu wielką lekcję. Z pewnością nauka, jakiej mamy zgodnie z naszym przeznaczeniem udzielić, nie pójdzie w las; lecz kto wie, kiedy dołączymy do reszty ludzkości i jak wiele nędzy będziemy musieli wycierpieć, nim spełni się nasze przeznaczenie?".Dziś

przepaść ta jest jeszcze większa i stopniowa jak likwidacja leży w interesie świata. Naszym długofalowym celem musi być zachęcanie Związku Sowieckiego do przeistoczenia się w konstruktywną potęgę światową.

Sposób postępowania z Sowietami będzie więc nadal probierzem amerykańskich umiejętności politycznych. Nauczylśmy się wiele na podstawie doświadczeń ostatnich 35 lat, a z pewnością lat Carterowskich. Po pierwsze, proces negocjacji z Sowietami nie powinien sprowadzać się do spraw spornych specyficznych, umownych stosunków, ale powinien także obejmować długotrwały dialog, nawet debatę, na temat odpowiednich zasad dotyczących ograniczeń i wzajemności, jakie mają regulować ten stosunek. Tylko w wyniku takiego dialogu może w końcu wyłonić się wspólna perspektywa oraz poskromić konfliktowe aspekty tego stosunku. Po drugia, są takie momenty, kiedy trzeba po prostu przyjąć ostry kurs i nie ulegać zbyt szybko, gdy Sowietci odrzucają amerykańskie warunki czy propozycje. Faktem jest, że wstępne przyjęcie łagodnego stanowiska, po czym stopniowe utwardzanie go, nie jest dobrze notowane przez opinię społeczną. Wręcz przeciwnie, jak wykazało doświadczenie Administracji Reagana, jest jakaś korzyść z posiadania reputacji twardego wilkołaka a potem złagodzenia swego stanowiska. Zarówno oponenci, jak i zainteresowani, tu i za granicą, wykazują tendencję do reagowania z wdzięcznością na takie spóźnione ustępstwa.

Po trzecie, naród amerykański musi przede wszystkim zdać sobie sprawę z długotrwałego i historycznego charakteru sowieckiego wyzwania rzuconego Ameryce. Wreszcie zawiera ono odmienne koncepcje stosunku jednostki do społeczeństwa i rządu oraz inne pojmowanie historii. Sowietci w swojej koncepcji rywalizacji mają intencje długoterminowe i prowadzą swoją politykę z właściwym sobie uporem i cierpliwością. Naród amerykański musi nauczyć się popierać ciągle wysiłek obrony oraz długotrwałą politykę stanowczego współzawodnictwa, bez swoich okresowych zmieniających się skłonności, począwszy od hysterii zimnowojennej aż do euforii odprężenia. W dążeniach do ukształtowania stabilnych stosunków ze Związkiem Sowieckim relacje amerykańsko-chińskie będą bardzo ważne. Byłoby błędem warunkować je tylko stanem stosunków amerykańsko-sowieckich, ponieważ dobre układy z Chinami mają sama w sobie wieloletnią, historyczną i strategiczną wartość. Niemniej jednak, dopóki amerykańsko-sowieckie stosunki są zasadniczo antagonistyczne, bliższa współpraca strategiczna między Stanami Zjednoczonymi i Chinami może wyrównać niektóre z istniejących różnic w zakresie siły konwencjonalnej, zmuszając Związek Sowiecki do skierowania części swoich militarnych wysiłków na chińsko-sowiecką granicę. Niewątpliwie, normalizacja stosunków amerykańsko-chińskich miała swój udział w zwiększeniu stabilizacji na Dalekim Wschodzie, umożliwiając z kolei częstsze lecz bardziej rozluźnione zaangażowanie Japonii w problemy bezpieczeństwa. Zakładając prawdopodobieństwo większych zmian wewnętrznych w Chinach, Stany Zjednoczone będą musiały w najbliższych latach być szczególnie wyczulone na chińskie problemy. Nie mogą bez potrzeby wzniesąć obaw Chińczyków ukazując, że de facto sprzyjają podwójnej polityce chińskiej.

To, co zostało powiedziane dotychczas, nie jest pomyślane jako zarys zagranicznej polityki Stanów Zjednoczonych w latach 80-tych, lecz jako drobiazgowy analiza założenia głoszącego, że Ameryka będzie musiała zaangażować się w sprawy światowe w sposób nieprzerwany, reagując na złożoność światowych warunków, dążąc do realizacji dalekosiężnych celów z cierpliwością i wyczuciem historycznego kierunku. Ale tu wyłania się zasadniczy problem: czy demokracja amerykańska jest w stanie prowadzić zakrojoną na szeroką skalę i zarazem subtelną politykę w burzliwym i skomplikowanym świecie?

Klika kłopotliwych warunkowań usprawiedliwia niepokój o amerykańskie zdolności utrzymywania takiego długotrwałego wysiłku, żeby współ

zawadniczyć ze Związkiem Sowieckim i jednocześnie dążyć do ukształtowania szerszego systemu kooperacji. Można scharakteryzować je pięcioma szerokimi pojęciami: historyczna tabula rasa, utyczka od zawiłości, brak politycznej ciągłości, załamanie się ponadpartyjności, użycie kongresu.

Amerykańskie podejście do świata jest głęboko niehistoryczne. Automatyczną niemalże inklinacją środków masowego przekazu, analityków a nawet decydentów jest ukazywanie każdego wydarzenia zagranicznego jako zasadniczo odmiennego - "godnego opublikowania" /"newsworthy"/ dla niektórych /sympmatyczne jest, że słowo to wywodzi się od "new" - "nowy"/, kłopotliwego dla innych, ale najczęściej odbieranego jako coś oryginalnego. Brak historycznej perspektywy ma negatywny wpływ zarówno na analizy, jak i dzienne reporty. Względnie rzadko podejmuje się próby zidentyfikowania trendów, uchwycenia istoty historycznych faz. W rezultacie, podczas gdy naród amerykański ma prawdopodobnie więcej potencjalnie dostępnych informacji, faktycznie rozumie w stopniu niedostatecznym wiele z tego, co dzieje się na świecie. Również nasi polityczni przywódcy generalnie odzwierciedlają to uwarunkowanie.

Srodki masowego przekazu są rzadko zainteresowane głębszą analizą. Typowym tego przykładem była reakcja prasy w maju 1980 roku na główną mowę Cartera, dotyczącą polityki zagranicznej. Miało to być przemówienie koncepcyjne, podsumowujące i podkreślające główne założenia polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, towarzyszącej kryzysowi w Zatoce Perskiej oraz sowieckiej inwazji na Afganistan. Prasa europejska zrozumiała przemówienie i nadała mu duży rozgłos zarówno w dziennikach, jak i edytorskich raportach i biuletynach. Ale prasa amerykańska skoncentrowała się prawie wyłącznie na kilku przypadkowych uwagach, jakie Carter zrobił w dwie godziny później porównując Vance'a do Muskiego. Nasi dziennikarze po prostu nie byli zainteresowani szerszą analizą. Uznali, że znaczna bardziej opłaca się zwrócić uwagę na personalną plotkę.

Zajmowanie się osobowościami i personalnymi starciami jest logicznym skutkiem braku zainteresowania historią. Osobowości są bardziej interesujące a reportaże o nich intelektualnie mniej wymagające niż kolizja idei. Stąd tak wiele skupienia na personalnych i biurokratycznych zmaganiach, a tak mało poważną uwagi poświęconej przez waszyngtoński korpus prasowy historycznym i filozoficznym założeniom.

Sytuacja ta jest ściśle związana z trudnościami, przed jakimi stoi masowa demokracja, usiłując zmagać się z realiami światowej złożoności. Na początku kadencji Cartera wygłosiłem mowę, w której powiedziałem: "Jeśli istnieje choć jeden wspólny wątek w naszych wysiłkach, to ten: po II wojnie światowej nasza polityka zagraniczna z konieczności była skierowana na sprawy związane przede wszystkim z zimną wojną". To nadało jej dużą ostrość, w niektórych przypadkach ułatwiając mobilizowanie opinii publicznej. Skoncentrowana polityka zagraniczna mogła być popierana powszechną emocją. Dziś stojmy przed trudniejszym zadaniem, wymagającym poparcia opartego na rozsądku. Musimy reagować na szeroki zakres spraw - niektóre z nich nadal są związane z zimną wojną - spraw wywodzących się ze skomplikowanego procesu światowych zmian. Skoncentrowana polityka zagraniczna musi ustąpić bardziej skomplikowanej taktyce, już nie ukierunkowanej na pojedyncze, dramatyczne zadanie - takie jak obrona Zachodu. Zamiast tego musimy zaangażować się w odległy i trudny cel nadania kształtu światu rozbudzonemu politycznie i wzburzonemu społecznie.

Szerokim masom łatwiej jest zrozumieć problemy, jeśli są one zredukowane do czarno-białych, dwudzielnych klasyfikacji. Łatwiej jest pojąć kierunki polityczne jeśli związane są z jednostkami, którym w sposób uproszczony nadano etykiety jastrzębi czy gołębi. Jednak w dzisiejszym świecie jakiegokolwiek próby zredukowania jego zawiłości do jednego zestawu ideologicznych przedsięwzięć, do pojedynczej osobowości lub do jednej sprawy są same w sobie zniekształceniem. Takie zniekształcenie zwiększa także niebezpieczeństwo takiego nasilenia

publicznej emocji jakie uniemożliwiłoby prowadzenie naturalnie skomplikowanej polityki zagranicznej.

Te kulturowe przeszkody do świadomego zaangażowania się w wydarzenia światowe są potęgowane przez polityczne upośledzenie. Należy do nich przede wszystkim brak ciągłości w powojennej polityce amerykańskiej, prowadzonej przez sześciu prezydentów na przestrzeni ostatnich dwudziestu przeszło lat. Każdy prezydent usiłował kształtować swoją własną politykę zagraniczną, identyfikowaną z nim samym. Stało się nawet niemożliwe mówienie o amerykańskiej polityce zagranicznej, mówi się natomiast o zagranicznej polityce Nixona, Cartera czy Reagana. Co więcej, częstotliwości zmian prezydentów towarzyszyły również częste zmiany najwyższego personelu tworzącego politykę zagraniczną, ze wszystkimi określonymi konsekwencjami wynikającymi z tego dla zdobycia doświadczenia i nawiązywania trwałych kontaktów międzynarodowych. W dodatku amerykańska polityka zagraniczna zazwyczaj podporządkowuje się polityce krajowej, po drugim roku o wiele za krótkiej czteroletniej kadencji prezydenta, a to jeszcze bardziej wykoślawia kształt prowadzonej przez Amerykanów polityki zagranicznej, która mogłaby być rozumiana przez naszych przyjaciół i szanowana przez naszych wrogów.

Każda administracja przechodzi okres ekstatycznego uniezależnienia się od przeszłości, następnie odkrywania ciągłości i wreszcie okres rosnącego zaangażowania w sprawy związane z ponowną elekcją prezydenta. Polityczne drogi kolejnych administracji są bliźniaczo podobne do siebie i wydaje się, że każda następna administracja nie wyłącza żadnych wniosków z doświadczeń poprzedniej. Każda poświęca masę energii na borykanie się z niezamierzonymi i fatalnymi konsekwencjami swoich wstępnych, czasami przesadnych, dążeń do wprowadzenia zmian, spełnienia obietnic i podsycania nadziei. Z czasem wcześniejsze koncepcje ustępują realiom, rozdarcie - intelektualnej konsekwencji, a wizja - pragmatyzmowi. Ale nim to się stanie, kadencja prezydenta dobiega końca. Oczywiście jest, że czteroletni okres elekcji ma zgubny wpływ na politykę zagraniczną, ale jest również jasne, że to strukturalne upośledzenie najprawdopodobniej nie będzie usunięte.

Czteroletnia kadencja jeszcze bardziej zwiększa zapotrzebowanie na ponadpartyjność. Mogłaby ona zrekompensować brak ciągłości prezydentów, w rzeczywistości jednak ponadpartyjność dziwnym zbiegiem okoliczności zwiędła wraz z zapoczątkowaniem okresu częstych zmian prezydentów. Stany Zjednoczone nie mają prawdziwie ponadpartyjnej polityki zagranicznej od blisko dwudziestu lat. Za kadencji Cartera kilkakrotnie usiłowałem zachęcić do takiej ponadpartyjności dążąc do zbliżenia ze sobą Cartera i Senatora Howarda Bakera, dla którego mam ogromny szacunek. Niestety, sprzeczności między nimi były tak duże, że nawet dyskusje na tematy, w których mieli podobne zdania, były bezowocne a czasami nawet zjadliwe. Początkowo, gdy szeroko rozpropagowano wezwanie Prezydenta Reagana, miał on realną szansę kształtowania ponadpartyjnej polityki zagranicznej wraz z demokratami-centrowcami, ale jego inklinacje do doktrynerskiej retoryki uniemożliwiły mu czerpanie z tego korzyści.

Typowe dla dezintegracji ponadpartyjności jest zniknięcie bezstronnej elity, która wzmocniła i pomagała kształtować amerykańską taktykę w pierwszej fazie światowych potyczek po II wojnie. Ta elita zaniknęła mniej więcej wtedy, gdy nastąpił upadek ponadpartyjności i została zastąpiona albo przez stromniczych dogmatyków w ramach ekstremalnych skrzydeł dwóch partii, lub przez nową generację manipulatorów od polityki zagranicznej, którzy są biegli w dokonywaniu zmian z jednej orientacji na drugą bez żadnego głębszego filozoficznego zobowiązania.

W przeszłości zaangażowanie się w wydarzenia zagraniczne miało swój początek w samej Służbie Zagranicznej /Foreign Service/, legalnej profesji a ostatnio akademii. We wszystkich przypadkach osoby zaangażowane występowały z pozycji względnej niezależności sądów oraz

zawodowego bezpieczeństwa. Usiłowały coś popierać. Najnowszym modelem było luźne związanie się z jakąś pół akademicką organizacją badawczą w okresie odsunięcia od władzy i jednocześnie roztropne oczekiwanie na wyłonienie się nowego kandydata. Carter szczególnie ucierpiał z tego powodu, ponieważ cały szereg ludzi mianowanych w drugim rzucie raczej nie był oddany osobiście jemu, ani nie podzielał jego podstawowych filozoficznych predyspozycji. Co więcej, niektórzy z nich poczuli się na tyle swobodnie, by wyjawić prasie wewnętrzne mechanizmy procesu podejmowania decyzji, gdy tylko służyło to ich własnym interesom, piekąc przy tym osobistą lub ideologiczną pieczę. Taki przećiek jeszcze bardziej kruszył spójność taktyki.

Szansę ponadpartyjności zostały również zredukowane przez załamanie się systemu starszeństwa w Kongresie. Jakie by nie było korzyści z tej zmiany dla samego Kongresu, przywództwo po obu stronach nawy nie może uratować swojej partii. Władza Kongresu rozproszyła się, potęgując trudności w utrzymaniu kooperacji egzekucyjno-legislacyjnej. Jednocześnie wraz z proliferacją poparcia dla ekipy pojedynczy senatorowie i kongresmani zyskali swoich własnych ekspertów w dziedzinie zagranicznej i obronnej polityki i chcą tę politykę tworzyć, a przynajmniej wytyczać jej główne kierunki.

Głównym bodźcem do zwiększenia udziału Kongresu w faktycznym tworzeniu polityki zagranicznej była oczywiście wojna wietnamska i spowodowany nią kryzys zaufania do władzy wykonawczej. Ten trend był również stymulowany przez częstsze zmiany prezydentów oraz zwiększoną stronniczość w polityce zagranicznej. W rezultacie Kongres Demokratyczny ustawowo wprowadził cały szereg ograniczeń w prowadzeniu polityki zagranicznej przez Prezydenta, któremu zdarzyło się być kontrowersyjnym republikaninem. Chociaż ograniczenia władzy Prezydenta co do prowadzenia wojny w epoce nuklearnej nie są nieusprawiedliwione, Kongres wydał rozporządzenia w formie certyfikatów, raporty dotyczące zachowania innych państw, restrykcje w zakresie sprzedaży wyposażenia wojskowego, nadzoruje działalność inteligencji jaka stopniowo przerodziła się w próby wspólnego określenia precyzyjnych i skrytych operacji. Wszystko to doprowadziło do sytuacji, w której prowadzenie amerykańskiej polityki nie nosi żadnych śladów roztropności, giętkości i szybkości reakcji. Rezultatem jest bezprecedensowy stopień zaangażowania Kongresu w prowadzenie polityki zagranicznej intensyfikujący niektóre z trudności, przed jakimi stoi masowa demokracja w dążeniu do prowadzenia subtelnej i kompleksowej polityki.

Trzeba będzie sporo czasu, aby zaradzić czynnikom, które tak komplikują kształtowanie historyczne odpowiedniego kursu amerykańskiej polityki zagranicznej w stosunku do świata. Z tych już wspomnianych, najgłębiej zakorzenione są oczywiście elementy kulturowe. Tylko poprzez stałą, powszechną edukację, w której środki masowego przekazu będą musiały grać główną rolę, Ameryka zdobędzie zdolność kształtowania i utrzymywania polityki, jaka oddaje sprawiedliwość zawilościom naszego wieku. W latach, gdy przebywałem w Białym Domu, współpracowałem blisko z kilkoma młodszymi dziennikarzami, którzy wykazywali, moim zdaniem, względnie rzadko spotykaną inklinację do łączenia zainteresowania faktami z intelektualną ciekawością prowadzącą do dostrzeżenia ich historycznych znaczeń. Mam nadzieję, że w najbliższych latach gazety i telewizja z większym rozmysłem zachęcać będą do takiego analitycznego sposobu przekazywania wiadomości, kładąc większy nacisk na centralne znaczenie historycznego doświadczenia dla naszych spraw codziennych.

Ale główny środek zaradczy znajduje się w strefie ponadpartyjności. Wierzę, że pierwszy prezydent, który odniesie sukces w ponownym wyniesieniu polityki zagranicznej ponad stronniczość, poważnie zwiększy swoje szanse przewyciężenia dominującej ostatnio tendencji do jedno-kadencyjnej prezydentury. Uzdolniony politycznie prezydent z wyobraźnią mógłby dokonać dużo i względnie szybko wskrzesić szeroką

koalicję w imię wspólnych narodowych celów. Z pewnością łatwiej powiedzieć niż tego dokonać. Lecz ostatnimi czasy prezydent tak naprawdę się nie wysilał i nie był gotowy do pójścia na kompromisy konieczne do nakłonienia przywódców innej partii /szczególnie liderów z Kongresu/, by wzięli udział w procesie faktycznego kształtowania polityki. Praktycznie polityka taka musiałaby być nade wszystko centrystyczna, zgodna z carterowską linią ostatnich dwóch lat jego administracji, związana z utrzymaniem amerykańskiej władzy, z projekcją amerykańskiego ideałizmu i kształtowaniem stosunków szerszej współpracy z wieloma nowymi uczestnikami światowych procesów politycznych. Taka polityka obejmowałaby umiarkowanych demokratów i liberalnych republikanów. Nie satysfakcjonowałaby w pełni ani liberalnych demokratów, ani konserwatywnych republikanów. Taka ponadpartyjna polityka zagraniczna stworzyłaby warunki do większej ciągłości w amerykańskich poczynaniach międzynarodowych i w ten sposób Ameryka odzyskałaby tak potrzebną jej reputację niezmienności.

Autentycznie ponadpartyjna polityka zagraniczna złagodziłaby niektóre z negatywnych konsekwencji nadmiernej ignorancji Kongresu. Ani formalne zredukowanie kontroli Kongresu, ani wyraźne przywrócenie prerogatyw wykonawczych nie byłoby wtedy konieczne. Sam fakt ponadpartyjności uprościłby relacje wykonawczo-ustawodawcze, uodparniając politykę zagraniczną na oportunistyczny ekstremizm i stawiając niemalże znak równości między polityką narodowego bezpieczeństwa i narodową jednością.

Aby istniała odpowiednia relacja między amerykańskimi zasadami i światem, w którym pragnienie politycznej wolności /główna kwestia sporna w stosunkach Wschód-Zachód/ wzmacniane jest przez tęsknotę za społeczną godnością /kluczowy problem w stosunkach Północ-Południe/, konieczne będzie przystosowanie się Amerykanów zarówno do bardziej zatłoczonego, jak i wreszcie bardziej egalitarnego świata. To będzie szczególnie trudne dla tego typu ludzi, których własne dokonania wywodzą się z czasów, gdy stosunkowo doskonała izolacja szła w parze z niemalże nieograniczoną przestrzenią i możliwościami. Lecz na świecie, który wkrótce będzie zamieszkiwać 6 mld politycznie aktywnych ludzi, szacunek dla kilku generalnych zasad postępowania oraz pewien minimalny poziom zarobków stanowią warunek konieczny dla światowego ładu, tak naprawdę jedyną alternatywę dla ogólnoświatowej zagłady.

Wysiłek kształtowania polityki zagranicznej opartej na fuzji amerykańskich pryncypiów i władzy będzie intelektualna i polityczną próbą. Stałą tendencją amerykańskiej demokracji było popadanie z nadmiernego moralizmu do moralnie niewrażliwego realizmu. W jednej fazie Realpolitik jest wynoszona pod niebiosa jako najwyższa wartość, w innej wzmoczenie i zastosowanie amerykańskiej siły jest obmawiane jako niemoralne i bezpodstawne. Dążenie do skojarzenia ze sobą tych dwóch aspektów w sposób pragmatyczny jest ostro potępiane jako zbyt słabo reaktywne na nakazy władzy lub jako niezgodne ze swą moralistyczną podbudową. Jednak nieugięta, moralna konsekwencja nie jest możliwa w skomplikowanym świecie, w którym moralnie uzasadnione aspiracje są źródłem wielu społecznych i politycznych niepokojów.

Tak, jak niemożliwym jest intelektualne zaszufładowanie skomplikowanego świata, niemożliwe jest zredukowanie polityki zagranicznej do czystej formuły, w której siła i pryncypia będą dokładnie powiązane. Jednak oczywiste jest, że kombinacja tych dwóch jest niezbędna, by amerykańska misja w naszej współczesności nabrała historycznego znaczenia.

# Moim zdaniem

Przekładanie pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej kapitału narodowego nie zwiększy, choćby było nie wiem jak intensywne. Również herbata nie zrobi się słodsza od samego mieszania. Państwo wyznacza wielkim naszym stalowniom czy maszynowniom ceny zaopatrzeniowo-kooperacyjne, państwo również ustala ceny zbytu na rynku wewnętrznym. Można więc powiedzieć, że państwo handluje samo ze sobą, przekładając te same krajowe pieniądze z jednej kieszeni do drugiej. Trudno w tej sytuacji mówić o zysku czy stracie, brak sprawdzianów rynkowych, orzekających coś określonego na temat stosunku podaży do popytu czy obiektywnej wartości pieniądza na przykład. Barometr rynkowy tutaj nie działa, zaatakowany zostaje automatyzmem procesu nieuniknionego, bowiem produkt zatrudniającego olbrzymią rzeszę pracowników przemysłu ciężkiego MUSI być sprzedany, bez względu na aktualny stan potrzeb społecznych, na wymogi nowej techniki i nowego życia. Musi być sprzedany i nikt na temat tego musu nie wyraża wątpliwości, nikt nie pyta, czy wydajniejsza i pilniejsza praca nad produkowaniem TYCH SAMYCH płyt stalowych rzeczywiście zwiększy nasz dobrobyt, podniesie poziom życia. Trudno wszakże z dnia na dzień zmienić kierunki zakorzenionej, latami rozbudowywanej ciężkiej produkcji, można wtedy wywołać olbrzymie i niebezpieczne społeczne perturbacje, lepiej więc widocznie ciągnąć intensywniej to co jest, licząc, że wydajniejsza praca MUSI w końcu spowodować podniesienie poziomu życia bez względu na taki czy owaki kierunek produkcji. Ale czy rzeczywiście musi?

Pewności nie ma, sprawdzianów rynkowych nie ma, jednoznacznej odpowiedzi brak. Konkretną pewność zysku czy straty, stosunku poniesionych kosztów do uzyskanych wpływów osiągnąć można tylko w kontakcie z obiektywnym rynkiem twardych, wymiennalnych walut, słowem tylko w handlu zagranicznym z krajami kapitalistycznymi. Paradoks to, ale i realna rzeczywistość: wolny rynek zachodni jest sprawdzianem także dla krajów o gospodarce socjalistycznej, państwowej, świat produkcyjno-handlowy i techniczny jest dziś bowiem systemem naczyń połączonych, działającym ponad ustrojami i stosunkami politycznymi. Przyznaje to także Związek Radziecki, nader chętny do stosunków handlowych z Zachodem i do uzyskiwania dewiz, mimo swego ogromu nadal daleki od ideału czy hasła ekonomicznej samowystarczalności. Bowiem, powtarzam, świat jest dziś jeden, stanowi jeden wielki rynek i tylko na tym rynku osiąga się konkretną sprawdzalność danej gospodarki. Bez światowego rynku i kontaktów z nim błądzimy we mgle, nie wiedząc niczego pewnego o obiektywnej efektywności czy nieefektywności naszej produkcji.

Tylko że całe nieszczęście w dzisiejszej Polsce polega na tym, że stosunki ze światowym rynkiem mamy teraz niewielkie, i to zarówno stosunki kredytowe, jak i wymiennie-handlowe. Owszem, staramy się o eksport, niektóre centrale i instytucje wychodzą ze skóry, przedsiębiorstwa małe i pozornie nietypowe, nawet rzemieślnicze, gdy się je zaopatrzy w odpowiednie bodźce materialne, odpisy dewizowe i energicznych oraz elastycznych ludzi. Owszem, pod wpływem palącej potrzeby dewiz zrozumiano to i owo, ale mało tego, okropnie mało /jeszcze najwięcej z Niemcami!/. Przeważająca część naszego ciężkiego przemysłu pozostaje wciąż poza obrębem obiektywnego twardego rynku, kontentując się przekładaniem tych samych krajowych pieniędzy z kieszeni do kieszeni /własnych oczywiście/. W dodatku przemysł ten, trwając w znanej bezkredytowej próżni, starzeje się z dnia na dzień, dezuluje bez dopływu nowych części i udoskonalen, traci nadzieję na modernizację i zwiększenie swej rynkowej użyteczności. "Mały" zaś, wyspecjali-

zowny eksport, którego znaczenie wreszcie zrozumiano, mimo nawet najlepszej chęci nie będzie w stanie udźwignąć narosłej a bezwładnej góry inwestycyjnej.

Ten stan rzeczy jest znany. Jakie są jego przyczyny? Odpowiedzieć można jednym słowem: POLITYCZNE. Podzielić je trzeba na dwie grupy: zewnętrzne i wewnętrzne.

I tu przechodzę do ryzykownej części niniejszego felietonu, części ubezpieczonej tytułem, podkreślającym jeszcze raz, że wyrażam wyłącznie poglądy własne, osobiste, jednostkowe, związane z określoną chwilą. Chodzi bowiem o to, że ja w tej właśnie chwili potępiam już stosowanie politycznych kategorii do naszych stosunków gospodarczych, potępiam bez względu na to, czy postępowanie takie pochodzi z zewnątrz Polski czy z jej wnętrza. Wobec czego mogę się okropnie narażać jednym i drugim: rządowi i opozycji, Wschodowi i Zachodowi, przyjaciółom i wrogom. Trzęsę się ze strachu, ale zaryzykuję.

Jeśli więc ktoś z zewnątrz stosuje wobec nas handlowe czy kredytowe bojkoty lub sankcje, aby osiągnąć pewne, chwalebne choćby w zamyśle cele polityczne, musi bacznie uważać, czy nie osiągnie przypadkiem skutku przeciwnego niż zamierzony. Może tym skutkiem okazać się na przykład trwałe odcięcie Polski od Zachodu, gotowanie się we własnym sosie, przystanie na niski poziom życiowo-cywilizacyjny i na szczątkowe wymiany towarowe z krajami mało rozwiniętymi. Negatywne skutki wewnętrzno-polityczne, zaostrzenie i zubożenie też nie każą na siebie czekać, w końcu zaś przyzwyczajamy się do sytuacji, zdegenerujemy, upodobnimy do jakiejś zabitej deskami dużej Albanii. Przecież nie o taki rezultat chodziło - nieprawdaż? Szło o rezultat politycznie pozytywny, a może się on okazać negatywny - trzeba uważać! Swego czasu Ameryka Cartara zastosowała wobec ZSRR sankcje zbożowe, odmawiając Rosjanom eksportu swego ziarna. Zobaczono jednak szybko, że rezultatem może być rozwinięcie przez Rosję importu zboża z Argentyny czy Brazylii i kompletne uniezależnienie się od Stanów. Widząc, że grozi skutek przeciwny od zamierzonego, szybko się wycofano...

Jeśli z kolei przyczyny izolacji gospodarczej płyną z wewnątrz, z postawy politycznej, ideologicznej, nieugiętości czy ustrojowej sztywności decydentów, tu również skutek może być niezamierzony a negatywny, boć bieda i izolacja to zły doradca, zwiększy się społeczna gorycz, obojętność lub też rozpali stałe napięcie, co państwa i systemu zgoła nie wzmocni, choć w zamyśle miało. Jeszcze zaś gorzej, jeśli polska izolacja zwiększa się przypadkowo, przez brak światowego rozeznania psychologicznego i nonszalanckie gesty /w nonszalanckich wypowiedziach celuje zwłaszcza znany rzecznik prasowy, nie czujący, iż gospodarczemu i propagandowemu słabeuszowi przystoi mniej wielkopańskich napuszeń a więcej rzeczowej skromności.../

I tu źle i tam źle, tak sprawy MOGĄ wyglądać, tak się mogą obrócić. Przestrzegam obie strony, chociaż robię to w piekielnym strachu, że obie mnie wyklną, albo że w ogóle ten felieton się nie ukaże. Pora więc kończyć, ale...

Ale jeszcze ważny: Amerykanie płacą hojnie Rumunom i Węgrom i NRD-owcom i komu się da. Za to katolickiej Polsce prawie nic dzisiaj nie płacą, karząc widocznie katolików ze Marksa. A kiedy zdycydują się coś popuścić, to z kolei znowu nasi marksściści... Wśród serdecznych przyjaciół psy zeżęca zjadły! Czy też zjedzą.

Przepraszam, dziękuję

KISIEL



# List do Jego Magnificencji prof. dr hab. Józefa Gierowskiego Rektora UJ

Szanowny Panie Pośle!

Zwracam się tak do Pana, bo wszak nominację z ramienia PRON /jak z FJN za gierkowskiego dobrobytu, a FN za Bieruta i Gomułki/ ma Pan już w biurku. Wynik wyborów jest zupełnie obojętny, bo nawet gdyby był 100% bojkot, i tak Pan już jest Posłem.

Zwracam się do Pana tylko po to, żeby Panu serdecznie pogratulować tak zaszczytnego wyróżnienia, jakim obdarzył Pana rząd Generała Jaruzelskiego. Wierzę, że przyjmując nominację kierował się Pan szczytnymi intencjami, dobrem nauki polskiej, koniecznością zapewnienia właściwych warunków pracy społeczności akademickiej najstarszej uczelni Polski.

Myślę, że starannie Pan wyważył wszystkie za i przeciw. Sądzę też, że zdaje sobie Pan sprawę w jakim momencie historycznym i z czyich rąk przyjmuje Pan poselską godność. Sejm, w którym Pan zasiądzie, od swego poprzednika, Sejmu minionej kadencji, przejmie dziedzictwo najbardziej represyjnych w historii polskiego prawodawstwa ustaw, łamiących podstawowe prawa ludzkie i moralne.

Czy jako Poseł zamierza Pan dążyć do obalenia uchwalonej przez ów Sejm ustawy o MSW, zezwalającej funkcjonariuszom MO i SB na strzelanie do bezbronnego tłumu, na rewizje i zatrzymania bez nakazu prokuratora? Czy zamierza Pan występować o obalenie zmodyfikowanej przez ten Sejm ustawy o cenzurze, niszczącej wszelką wolną myśl, także naukową? Czy zamierza Pan występować za usunięciem ze zmodyfikowanych przepisów karnych paragrafu pozwalającego więzić obywatela bez sądu aż do dwóch lat?

A co uczyni Pan z ostatnim dziełem tego Sejmu, Ustawą o Szkolnictwie Wyższym, która z Pana - Rektora najstarszej polskiej uczelni czyni mianowca ministra, a nie elekta akademickiej społeczności?

Czy sądzi Pan, że ten nowy Sejm, nominowany w gabinetach PRON, wojska i partii, bez jakiegokolwiek szerszej konsultacji społecznej będzie lepszy o poprzedniego? Czy będzie choć w części wyrazicielem woli społeczeństwa, a nie tylko jego urzędowych mocodawców? Czy zdaje Pan sobie sprawę, że w nadchodzącej kadencji Sejmu zwiększą się będzie liczba ludzi więzionych za przekonania, zaostrząc się będą represje, pogłębiać samowola SB, także w stosunku do kierowanej przez Pana społeczności akademickiej, także w stosunku do pracowników UJ?

Czy sądzi Pan, że w tym Sejmie będzie Pan mógł głośno nazwać te nieprawości i wystąpić o sprawiedliwość zgodną z racjami sumienia, a nie z dowolnie i co chwila przekształcaną literą tzw. prawa?

Czy nie sądzi Pan, że kompromisy, jakie Pan będzie musiał w tym Sejmie zawierać, doprowadzą Pana do biernego podniesienia ręki w gaście poselskiego przyzwolenia na jeszcze bardziej drakońskie i haniebne ustawy?

Jeżeli Pan to sobie wszystko rozważył i przyjął nominację poselską - to pozostaje mi życzyć Panu powodzenia na tej krętej i śliskiej ścieżce. Pozostaje mi też wiara, że u kresu tej kadencji ja i inni członkowie społeczności akademickiej nie będą musieli zmieniać o Panu zdania.

Łączę wyrazy szacunku

KONRAD STRUGA

P.S. Ale głosować na Pana i tak nie pójde, podobnie jak i na innych nominatów.

**Cena 250 zł**

1985

BEZ DEKRETU

9-10